

M.B.
1990

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź Odgłosy

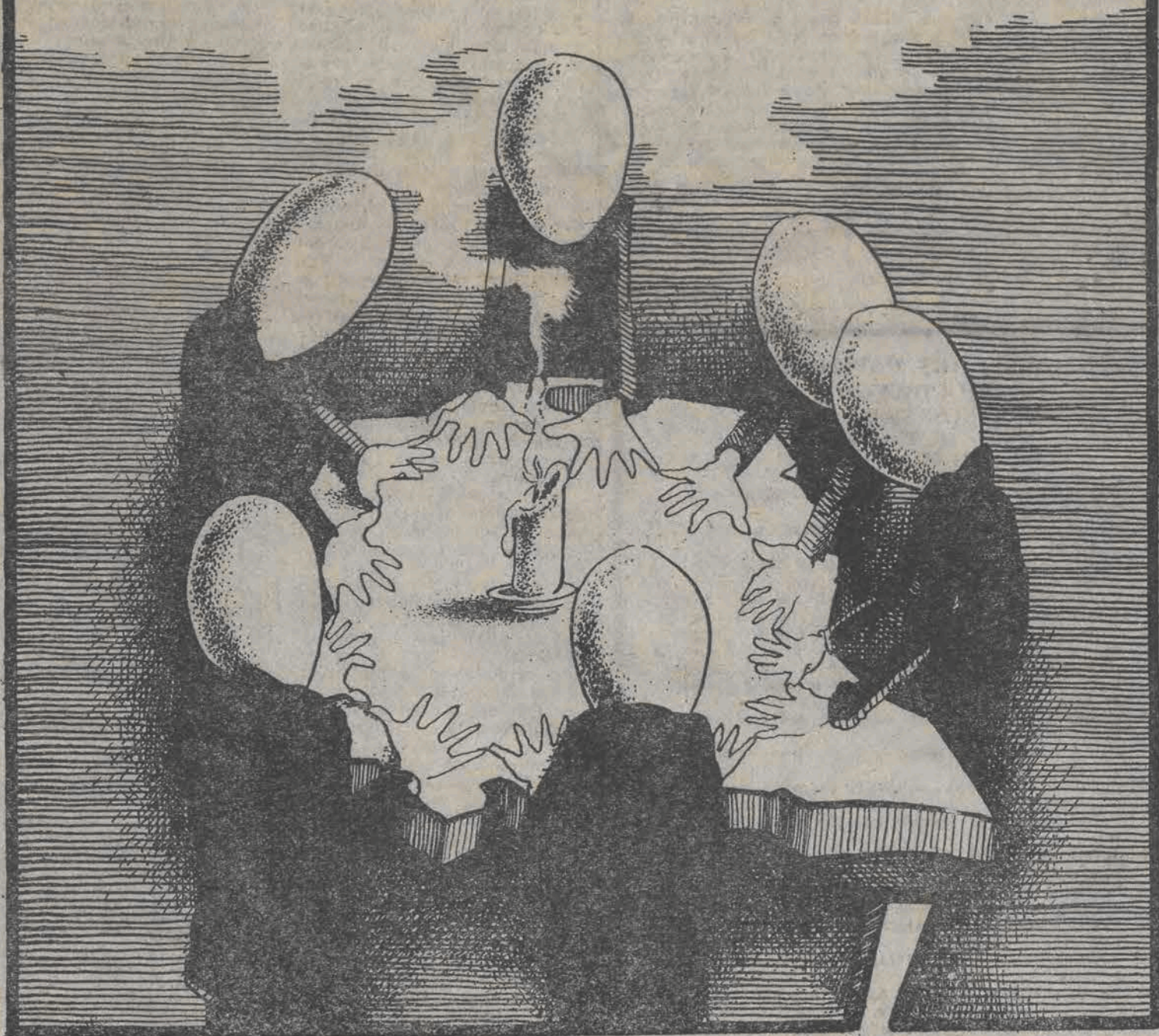
Za miesiąc numer
świąteczny
32 strony!!!

NR 1683 ROK XXXIII

LISTOPAD 1990 R.

CENA 1200 ZŁ

- ◆ Nie dorośliśmy do kapitalizmu? _____ str. 3
- ◆ „Bombowe” dowcipy w szkołach _____ str. 7
- ◆ Brygady Tygrysa w akcji _____ str. 9



Rys. Dariusz Romanowski



Pierworodny przed ołtarzem

Pierworodnym jest Bogdan Wałęsa, zaś jego wybranką — Agnieszka Drozdowicz, studentka pedagogiki Uniwersytetu Gdańskiego. Ich ślub w Katedrze Oliwskiej w Gdańsku stał się wydarzeniem towarzyskim, znamiennym dla nadchodzących czasów. Dla naszych czytelników mamy z tej okazji garść ploteczek, zasłyszanych od osoby obecnej na uroczystości.

Młodzi nowożeńcy przywiezieni zostali lancją w kolorze granatowym (na rejestracji gdańskiej), zaś rodzice Pana Młodego — wozem tejże marki, ciemnobrązowym, na rejestracji warszawskiej. Panna Młoda, cała w tiulach i koronkach, wystąpiła bez tradycyjnego welonu. Bukiet ślubny sporządzony był wyłącznie z czerwonych róż. Po uroczystości państwo młodzi zostali dosłownie zasypani kwiatami, które z trudem pomieścił bagażnik lancii. Tego dnia życzenia i kwiaty odbierał też sam Przewodniczący. Okazja po temu była bowiem podwójna — ślub syna zbiegł się z 47 urodzinami ojca, a od tej chwili także i teścia.

Przed kościołem nikt nie rzucał drobnych monet ani ryżu. Za to samochód młodej pary ciągnął w drodze powrotnej sznur kilkudziesięciu puszek po piwie, hałaśliwie pobrzekujących na asfalcie. Czyżby rodziła się nowa tradycja?

M. K.

HURTOWNIA ART. PAPIERNICZYCH BIUROWYCH

„POL-RUS” Spółka z o.o.

Łódź, ul. Tkacka 9A

tel. 78-43-64, telex: 886622

1. Papier ksero kolor 500 ark. import — 33.000 zł (A4, A3, A2, A1)
2. Papier ksero 500 ark. polski — 33.000 zł, import — 39.000 zł
3. Papier maszynowy 500 ark. polski — 23.000, imp. — 29.000 zł
4. Papier offset maszynowy A1, A2, A3, A4, papier satynowany, kredowany 500 ark. imp. — 28.000 zł
5. Papier kreda 60 g/m kw. do 400 g/m kw. import, cena 1 kg 9—15 tys. zł
6. Bristol, chromokarton B0, A1 imp. — 3.700 zł arkusz
7. Kalka techniczna syntetyczna i pergaminowa, import, arkusze, role
8. Papier telefax — import, wszystkie rodzaje, ceny od 36.000 zł
9. Papier telex — wszystkie rodzaje, ceny od 3.200 zł za rolkę
10. Papier komputerowy — składanka, rolki — wszystkie rodzaje
11. Taśma Dalton, taśma do kas komp. — wszystkie typy
12. Taśmy do maszyn, korektorki do maszynopisu „Tip-pex” imp.
13. Etykiety towarowe, komputerowe i zwykłe, wszystkie rodzaje, ceny najniższe w kraju
14. Papier i folie samoprzylepne, 10 kolorów, arkusze i role
15. Artykuły biurowe — plóra, długopisy, segregatory, koperty
16. Papier czerpany — import A2, A4, koperty

Towar dostarczamy bezpłatnie. Płatne czekiem i gotówką, przelewem — tylko urzędy adm. państwowej.

Zafundujmy sobie kilku prezydentów!

Pechowa prezydentura

Czy już wszyscy publicyści zabrali głos w sprawie prezydentury? Wszyscy? No to teraz ja. Zaczniemy od rysu historycznego: prezydentura w Polsce była zawsze pechowa. Zresztą najwybitniejsi politycy II Rzeczypospolitej nie przeszli do historii jako prezydenci — ani Grabski, ani Witos, ani Dmowski, ani Daszyński. Ba! Najwybitniejszy bez wątpienia człowiek dwudziestolecia, Józef Piłsudski wręcz prezydenturę odrzucił!

Pierwszego prezydenta zamordował nam niejaki Eligiusz (nazwiska nie wymieniam, nie będę się przyczyniał do jego herostratesowej sławy). Drugi pan prezydent był sympatyczny, pocziwy taki, ale skończył kadencję nieciekawie, bez sławy i chwały. Podobnie jego następcą, który tak pięknie prezentował się we fraku i odpowiadał wyłącznie przed Bogiem i historią.

Pomiędzy prezydentów emigracyjnych, mało o nich przeciętny rodak wie. No, może ostatnio trochę więcej, kiedy się okazało, że prezydent jest jeden, ale w dwóch osobach? Czy to także polski pech prezydencki?

Potem to był prezydent! Wprawdzie pan Jacek Bartyzel udaje, że go wcale nie było. Ale był, był i sporo ludzi pamięta go dobrze, zbyt dobrze... A jak awansował partyjni! Najpierw był zupełnie bezpartyjny, a potem od razu został pierwszym sekretarzem! Tak uwierzył w swoje dyplomatyczne talenty, że podobno nawet umarł na chorobę dyplomatyczną. Taka jest siła autosugestii... Trzeba przyznać, że prezydent miał też pecha — co gorsza, jego prezydenturę nazwać można pechem narodowym.

Następnie mieliśmy przewodniczących Rady Państwa. Listę nazwisk sobie darujmy. Na ogół nieciekawia.

No i wreszcie, od ubiegłego roku znowu mamy! I co się okazuje? Też niedobry... W oczy się nie rzuca, „prezydenci” raczej od święta, na co dzień jakby niewidoczny. A też niedobry, też pechowy i już go łąda dzień nie będzie. Będzie zupełnie nowy! Ale który? Jeden najpierw nie chciał, nie chciał, a jak się już zdecydował to ho ho! Drugi też najpierw nie chciał, teraz już chce, ale też jakby nie za bardzo. Potem jest cały szereg takich, którzy bardzo chcą, ale i tak nie będą... taki pech i to jeszcze przed wyborami!

Bólu głowy można od tego dostać. I to nie tylko kolejarze ze Słupska czy chłopcy spod Włocławka dostają tego bólu głowy. Nawet najcięższe głowy — dawniej by się powiedziało „głowy senatorskie” też dostają bólu. Nie bez przyczyny przypomniałem staropolskie „senatorskie głowy” — to przykład na ewolucję semantyczną języka — dziś byłoby to raczej określenie pejoratywne?

Wracajmy do naszych kandydatów. Mam propozycję nastę-

pującą: skoro ma być pluralizm, to zafundujmy sobie kilku prezydentów. Wszyscy będą zadowoleni.

„Po pierwsze, zgodnie z propozycją Jerzego Waldorffa należy wybrać jakąś hołą dziewczynę i wydać ją prędko za Landsbergisa. Raz nam już taki manewr wyszedł, może uda się riplay?”

Następnie można sprowadzić z Londynu panów Kaczorowski i Nowinę-Sokolnickiego. Jakoś się pomieszczą w Belwedrze. Pozostali prezydenci będą rezydować zupełnie gdzie indziej: Wałęsa i wspierająca go „bratnia pomoc” — w Stoczni Gdańskiej, Mazowiecki w URM-ie. Prezydent uciśnionych mas robotniczych Miodowicz — w CRZZ, reprezentant burżuazji Korwin-Mikke w pałacu Poznańskich w Łodzi. Ci co „żywią i bronią” — będą mieli prezydenta Romana Bartoszcze w Wierchosławicach. I tak dalej i tym podobnie. Prezydent ekologów — w Puszczy Białowieskiej, naturystów w Rowach, chrześcijańskich demokratów w Częstochowie.

A co będą robić panowie PT prezydenci? Wiadomo! „Zielony” będzie dbał o przyrodę i środowisko naturalne. „Rolnik” będzie żywił i bronił, reprezentant burżuazji będzie przywłaszczał wartość dodatkową i spał szampana, a „młodzieżakowiec” będzie go zwalczał. Ten z URM-u będzie się zajmował polityką zagraniczną, dwaj z Belwederu nie będą robili nic, bo się do tego przyzwyczaili... A Wałęsa będzie to wszystko przyspieszał z siekierą i dwoma wiernymi Kiemliczami („Lechu, prac!”).

Dwa jeszcze odłamy polityczne pozostały do „zagospodarowania”: komuniści i monarchiści. Z tymi pierwszymi sprawa prosta — oni prezydenta nie potrzebują. Złożą sobie jakieś biuro, nazwą je „polityczne” i tam będą sobie urzędować. Biuro będzie zakonspirowane, żeby go nie mogli zdemolować strzelcy komendanta Moczulskiego. Trudniej będzie z monarchistami. Podobno są skłóceni. Jedni za Burbonem, drudzy za Habsburgiem, jeszcze inni za Romanowem. Jedno jest pewne — kto by to nie był, rezydować może tylko na Wawelu! Ale jak go desygnować na króla? Jak go, za przeproszeniem, „pomazać”? Wolna elekcja odpada, bo na miłą pachnie bolszewizmem (sic!). Tak więc nie tylko prezydentura jest pechowa...

ANDRZEJ KAROL

Andrzej Gębarowski — redaktor numeru. Janusz Kozłowski — redaktor techniczny. Grażyna Olechnowicz — sekretarz redakcji. Dariusz Romanowicz — grafik.
Adres redakcji: 90-143 Łódź, ul. H. Sienkiewicza 3/5, tel. 36-62-44, Fax — 86-71-87.
Wydawca: Dziennikarska Spółdzielnia Pracy „Odgłosy” na podstawie umowy z Łódzkim Wydawnictwem Prasowym RSW „Prasa-Książka-Ruch”.
Druk: Prasowe Zakłady Graficzne.

— W jednym z numerów „Najwyższego Czasu” pod pana karykaturą znajduje się hasło: „PO CO JECHAĆ DO USA? WPROWADZMY USTROJ AMERYKAŃSKI W POLSCE. JUŻ!”. Czy sądzi pan, że to możliwe? Już teraz? Z naszą mentalnością?

— Proszę sobie wyobrazić członka partii zielonych, który 200 lat temu tłumaczy komuś, że trzeba odżywiać się naturalnym pokarmem. Ten ktoś nazywa się Robinson Crusoe i mówi, że to jest niemożliwe. Następnie ląduje na bezludnej wyspie i robi to, co uważał za niemożliwe. Lądowanie na bezludnej wyspie jest jednak większym szokiem niż przejście do kapitalizmu.

Inny przykład. 150 lat temu niepiśmienni chłopcy z Podola, Ukrainy, Białorusi czy Podhala jechali do Ameryki i dawali tam sobie radę. Dziś zresztą też Polacy jeżdżą do Nowego Jorku i z głodu tam nie umierają.

Sprawdzałem, czy Polska dojrzała do kapitalizmu

Rozmowa z JANUSZEM KORWINEM-MIKKE — liderem Unii Polityki Realnej.

— Jakoś te przykłady mnie nie przekonują.

— To inaczej. Wspomniała pani o zmianie mentalności. Zostawmy naszą mentalność w spokoju. Jej zmieniać nie trzeba. Trzeba natomiast znieść nasze socjalistyczne ustawy. Jeśli na przykład tworzy się fundusz pomocy dla bezrobotnych, to oczywiście, że taki bezrobotny zamiast poszukać sobie pracy i dochodu, pisze podanie o zasiłek.

— Prezentując program Unii w „Rzeczypospolitej” stwierdził pan, że władzę wykonawczą powinien mieć w swoim ręku premier a nie prezydent. Jest to sprzeczne z amerykańskim systemem władzy.

— Rzeczywiście. W USA prezydent pełni funkcje wykonawcze. Jestem za tym, aby w Polsce prezydent nie miał tych funkcji. Należy mu oddać natomiast sprawy wojskowe i politykę zagraniczną. Prezydent powinien reprezentować nadrzędny interes państwa i społeczeństwa. Nie powinien też zgłaszać weta wobec ustaw sprzecznych z Konstytucją, bo od tego jest sąd, natomiast powinien zgłaszać weta wobec tych ustaw, które są sprzeczne z prawami naturalnymi, moralnymi, w które wierzą konserwatyści.

— Premier miałby natomiast mieć silną władzę wykonawczą, a ministerstw — według pana — powinno być 5 lub 6.

— Tak. Z tym, że minister obrony narodowej i minister spraw zagranicznych byłiby ludźmi prezydenta. Dla spraw polityki zagranicznej obojętne powinno być, czy wybory wygrali komuniści, czy konserwatyści, bo to nie może zmieniać w niczym polityki zagranicznej państwa, jako interesu nadrzędnego.

— Proponuje pan też aż 3 izby legislacyjne, w których zasiadałoby razem 173 posłów. Każda z tych izb miałaby prawo weta. Nie boi się pan, że żadna ustawa nie mogłaby się w Polsce ukazać?

— I bardzo dobrze! Prawo weta miałby również prezydent.

— Dlaczego uważa pan, że byłoby dobrze, gdyby ukazywało się mniej ustaw?

— Bo jest ich za dużo. Ustawy trzeba kasować, a nie tworzyć. Czy pani potrafi powiedzieć, ile ustaw uchwalili do tej pory obecni Sejm?

— Nie.

— Komu zatem potrzebne są ustawy, których obywatel nie potrafi zapamiętać? Czy obywatel potrafi powiedzieć, które ustawy

w ciągu ostatnich 40 lat były niezbędne? Nie potrafi. Herbert Spencer — teoretyk liberalizmu — dokonał analizy ustaw wydanych w Wielkiej Brytanii w latach 1820—1840 i uznał je za zbędne, a sprawdził, że w latach 1840—1860 wszystkie te ustawy zostały uchylone jako szkodliwe.

— Wszystkie ustawy nie mogą być jednak szkodliwe.

— Oczywiście, że nie. Na przykład potrzebne jest prawo wodne. Ale już ustawa, która zwalnia zagranicznych inwestorów na 2 lata od podatku jest szkodliwa. Żaden bowiem inwestor zagraniczny nie przywiezie tu swoich pieniędzy, bo wie, że za dwa lata ulgę będzie miał jego konkurent, a on już nie. Prawo powinno być stabilne. Jeśli ktoś wybiera się do Polski, to musi wiedzieć, jakie tu prawo obowiązuje. Nie może przecież być tak, że kiedy kupuję samochód, to nie wiem, jaki będzie od tego

podatek, bo dopiero ustali to Sejm. Powtarzam jeszcze raz: prawo musi być stabilne, bo wtedy nie jest stronnictwo!

— Jak by pan to uzasadnił?

— Toczy się powiedzmy spór między Łodzią a Aleksandrowem Łódzkim o linię tramwajową. Spór ten rozstrzyga Sejm. Zna realia i jeśli nawet wyda orzeczenie bezstronne, to przecież może być posądzony o stronnictwo. Natomiast, gdyby spór ten rozstrzygano na podstawie prawa obowiązującego od 50, 100, 150 czy 200 lat, to nikt ustawodawcy nie może już posądzić o stronnictwo.

— Ale to może być niedobre prawo, bo przestarzałe?

— Może, ale to nie zmienia tego, że jest sprawiedliwe. Teraz Sejm uchwała wiele praw, które następnie nowelizuje. Czy to jest lepsze?

— W tej koncepcji ustroju Polski zakłada pan, że funkcjonowałyby gminy, miasta i ziemie, które miałyby znaczną samodzielność. Jak rozumieć pojęcie „ziemi”? Na przykład Ziemi Łódzkiej historycznie nigdy nie było?

— Oczywiście, że nie było. Zresztą nazwy województw są wymyślone zupełnie bez sensu. Mamy na przykład województwo białsko-podlaskie zamiast po prostu podlaskiego, bo było i jest Podlasie, mamy dalej województwo bielskie, do którego należy Żywiec, a przecież jest i była Ziemia Żywiecka. Poza tym siedziba województwa nie musi być konieczne w mieście, od którego wzięło nazwę. Niekoniecznie też stolica musi być w największym mieście. W USA stolicą jest Waszyngton — wcale nie największe miasto. Podobnie jest w Kanadzie i wielu innych państwach.

— Przyjęcie struktury „ziemi” byłoby powrotem do tradycyjnego, historycznego podziału kraju?

— Tak, ale chodzi również i o to, aby układ ten był zróżnicowany. Sens reformy administracyjnej przeprowadzony w 1975 roku polegał na tym, aby województwa były mniej więcej sobie równe. Nam chodzi zupełnie o coś przeciwnego. Na przykład o to, aby Księstwo Oświęcimsko-Zatorskie powróciło do arcybiskupstwa krakowskiego. A to, że będzie ono małe, nikomu nie powinno przeszkadzać. Obok tego będzie duża Wielkopolska.

— Nie boi się pan, że powstanie — jak to u nas — straszne zamieszanie?

— Przed 1975 rokiem Żyrardów należał

do województwa warszawskiego. Teraz należy do skierniewickiego. Gdy dokonywała się reforma podziału administracyjnego w Żyrardowie mówili: — Do tej pory budowaliśmy Warszawę, teraz będziemy budowali Skierniewice. — Otóż w ustroju liberalnym fundusze Żyrardowa nie zmieniłyby się na jotę.

— Ale z czegoś stolica ziemi musi przecież żyć.

— Owszem, ale z pieniędzy własnych przywożonych do stolicy przez ludzi, którzy dobrowolnie wydają je w kinach, teatrach, u fryzjera, w knajpie. Zaś system podatkowy powinien być budowany od dołu. Osiedle płaci podatki miastu, miasto płaci ziemi, ziemia płaci państwu. Byłby to porządek odwrotny do tego, jaki mamy dziś.

— Proponuje pan też, aby ziemie miały samodzielność prawną. Jak pan to rozumie?

— Na Podhalu uważa się, że nie ma wesoła, jak się chłopaki nie pobiją, a w Wielkopolsce uważa się to za przestępstwo. Ale obowiązujący kodeks karny nie bierze pod uwagę regionalnej specyfiki. Dlaczego zatem na Podhalu nie miałby obowiązywać inny kodeks karny niż w Wielkopolsce? Nie widzę żadnego powodu, aby tak właśnie nie było.

— Czy byłaby to federacja samodzielných ziem, czy coś na podobieństwo układu stanowego w USA?

— Na podobieństwo USA, gdzie sąd nadrzędny może zmienić prawo w jednostce autonomicznej, czego nie ma w federacji.

— Mówił pan o tych propozycjach przebudowy ustroju na spotkaniach z ewentualnymi wyborcami. Jak oni te propozycje przyjmowali?

— Na ogół dobrze. Ludzie chcą samodzielności i autonomii, naturalnie w pewnych granicach, bo zdają sobie sprawę z tego, że władza lokalna może być większym gniebicielem od centralnej. Chcą więc we władzy centralnej mieć obrońcę.

— Teraz wszyscy mówimy, że idziemy do Europy...

— Stop! Chciałbym uprzedzić uwagę, że Warszawa, Łódź, Poznań, Skierniewice, Kalisz leżą w Europie i do Europy należą.

— Ale ta sama Europa zamyka przed Polakami granice. Jak więc pan widzi przyszłą politykę zagraniczną liberalnej Polski?

— Przede wszystkim należy oddzielić politykę zagraniczną od polityki handlowej. Jeśli chodzi o politykę handlową, to mnie taka Europa biurokratyzowana i zsocjalizowana nie odpowiada. Mam ją w nosie! Odpowiada mi Europa według koncepcji pani Margaret Thatcher, w której znosi się granice, opłaty celne, ale każde państwo jest suwerenne na swoim terytorium ma własny system podatkowy, własne pieniądze.

Jeśli by wolność gospodarcza w Polsce rozwijała się tak jak do tej pory a jest — to jeszcze wolność gospodarcza nieoficjalna, produkcja „na czarno” to Polska błyskawicznie dogoni Zachód i zmieści się w takiej Europie. Ale nie w Europie biurokratów z EWG, biurokratów jeszcze gorszych niż w Polsce.

— Brzmi to szalenie optymistycznie.

— To wcale nie jest optymizm. U nas istnieje więcej „czarnej produkcji” niż na Zachodzie. Proszę zwrócić uwagę, ile polskich towarów wytwarzanych „na czarno” wywozi się do Francji. Przy takim tempie możemy za 15 lat dogonić i przegonić Francję. Dla porównania, ile towarów mamy ze Szwecji? Poza samochodami volvo prawie nic. Szwecja to jest zdecydowanie umiarkowany kraj. A polskie towary są przecież eksportowane.

— Czy pan nie przesadza? Przecież spada produkcja przemysłu

— To jest w tej chwili drobny fragment gospodarki.

DOKOŃCZENIE NA STR. 4

Sprawdzałem, czy Polska dojrzała do kapitalizmu

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

— Drobny?
— Tak, drobny. Robi się wokół tego dużo hałasu, przemysł ten zatrudnia dużo ludzi, ale zysku z tego nie ma prawie żadnego. Gdyby tak tę całą gospodarkę, wraz z ludźmi, przenieść na przykład na Grenlandię, to nikt by tego nie zauważył. Bo ludzie tak naprawdę to żyją z tego, co zahandlują, zarabia „na czarno”.

— To jest pana pogląd na politykę handlową, a jak pan ocenia politykę zagraniczną? Czy nie boi się pan, że dwa wielkie kraje: Niemcy i Rosja dogadają się ponad naszymi głowami?

— Jeśli Polska będzie krajem bogatym, to nie ma takiego niebezpieczeństwa. Polska już staje się krajem bogatym. W Poznaniu na spotkaniu przedwyborczym pewien pan skarżył się, że Polska jest krajem biednym. — A czym się pan zajmuje? — zapytałem tego pana. Okazało się, że drukuje reklamy drzwi automatycznych do garaży. — Jak to się sprzedaje? — pytam dalej. Okazuje się, że w tysiącach sztuk. W kraju biednym ludzie nie kupują automatycznych drzwi do garaży, bo to nie jest urządzenie pierwszej potrzeby. Widać mają pieniądze.

— Nie wszyscy jednak mają dużo pieniędzy.

— I to jest prawidłowe. Biedniejsi, jeśli chcą mieć pieniądze, niech się wezmą do roboty, więcej pracują, to i więcej zarobią.

— Jeśli polityka podatkowa zezwoli na to.

— Zgoda. Jeśli pan Leszek Balcerowicz każdą ponadnormatywną złotówkę okłada pięciokrotnym podatkiem, to czegoś takiego nawet w Szwecji Olafa Palmego nie wymyślono.

— Załóżmy, że Polska jest już bogata, jaką zatem prowadzi politykę zagraniczną?

— Przypominam, że oddzielał gospodarkę od polityki. Jeśli na przykład kapitał niemiecki wybuduje w Polsce fabrykę, to wszystko w porządku. Pod warunkiem, że płaci podatki, za które my kupujemy czołgi. Bo politykę zagraniczną robi się przy pomocy czołgów, a nie przy pomocy układów handlowych i innych. Kapitałiści mogą sobie robić u nas co chcą, wyrzucać robotników, ale nie mogą wtrącać się do polityki. Silny rząd nigdy sobie na to nie pozwoli.

— Jak pan widzi politykę rolną w Polsce? Rolnictwo też decyduje o bogactwie kraju.

— Państwo nie może przeszkadzać rolnikom. Wie pani, co bym zrobił z ministerstwem rolnictwa?

— Nie.

— Sprzedałbym ten ładny budynek z kolumnami za kupę dolarów komuś z zagranicy i niech tam sobie robi, co chce. Chłopi sami wiedzą, kiedy mają orać, siał i nikt im nie powinien w tym przeszkadzać. Natomiast — ponieważ rolnictwo przez lata było niszczone — należałoby wprowadzić na jakieś od 3 do 6 lat wiosenne kredyty dla rolników, kiedy na przedwiośnie nie mają pieniędzy. Te kredyty pozwoliłyby na odbudowanie chłopskiej bazy kapitałowej.

— To bardzo ładny program, ale nie otrzymał pan wymaganej liczby podpisów, jako kandydat na prezydenta RP. Jak pan to oceni?

— Po prostu sprawdziłem, że Polska jeszcze nie dojrzała do kapitalizmu. Bardzo tego żałuję. Po części również i z tego powodu, że gdybym wszedł do drugiej tury wyborów, to Adam Michnik, który odmówił poparcia dla Lecha Wałęsy, musiałby wtedy popierać mnie. Wyobraża pani to sobie?

Rozmawiała:

BOGDA MADEJ

Gdy piszę te słowa, jawią się jeszcze same znaki zapytania, choć znamy już styl walki o najważniejszy urząd Rzeczypospolitej. Za przepustką do Belwederu dla zwycięzcy zapłacimy jako podatnicy lekko licząc 100 mld zł, co w przeliczeniu na jednego mieszkańca stanowi równowartość około pięciu biletów tramwajowych: nie są to koszty zbyt wygórowane zważywszy rangę czekającej nas 25 listopada rozgrywki. Prawdziwe koszty poniesiemy dopiero wówczas, jeśli wybór głowy państwa okaże się chybiony, oznaczać to bowiem będzie zawrócenie z drogi reform, zaprzaczenie dotychczasowych wyrzeczeń społecznych, a co gorsza podważenie zaufania do demokracji.

Za ojców chrzestnych jesiennego ożywienia politycznego można uważać braci Kaczyńskich — to oni już wiosną umyślowili Lechowi Wałęsie, że wygodny domek jednorodzinny, przy ul. Polanki 24 w Gdańsku można zamienić na pałac przy ul. Belwederskiej 54/56 w Warszawie. Przewodniczący „Solidarności” w swoistym dla niego stylu raz potwierdzał chęć ubiegania się o prezydenturę, innym razem zaprzeczał i wybierał się na ryby. Z perspektywy czasu okazało się wszakże, że był to zamierzony element kampanii prezydenckiej, który dał mu handicap czasu nad ewentualnymi konkurentami.

Krajobraz przed bitwą

KONRAD FREJDLICH

Początek kampanii prezydenckiej Wałęsy stanowi jednocześnie ważną cezurę czasową w powojennych dziejach Polski, znamionuje jeśli nie rozpad, to w każdym razie głęboki podział „Solidarności”. To rozwarstwienie może się zresztą okazać korzystne wyzwalając nowe impulsy w życiu społecznym, jeśli nie będą one stały w zasadniczej sprzeczności z etosem zrodzonym przez Sierpień 1980 r. Wiele jednak wskazuje na to, że coraz częściej dochodzą do głosu egoistyczne grupowe i wybujałe ambicje osobiste.

Mówiąc o zagrożeniach mam na myśli niepokoję społeczną, takie choćby jak strajk maszynistów czy rabacie chłopskie na drogach i przed punktami skupu produktów rolnych, protesty górników i transportowców. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie mają one uzasadnienia w sytuacji życiowej różnych grup zawodowych, ale animatorzy tych akcji jakby zapominają, że nam wszystkim żyje się ciężiej, że przysięgę od socjalizmu do kapitalizmu o ludzkiej twarzy wymaga ofiar i poświęceń. Co raz częściej też w naszym społecznym pejzażu pojawiają się akcenty szowinistyczne. To prawda, że patronują im różni polityczni dewianci, często najciemniejsze siły upadłego reżimu, które teraz próbują wpisać się w nową rzeczywistość, ale znajdują one niekiedy poklask.

Zwiastunem kryzysu w łonie „Solidarności” było powstanie Porozumienia Centrum, które rzuciło bliżej nie określone hasło przyspieszenia. Gdyby wyszły z czasem o miejsce w nowej Europie miały się ograniczyć do zmiany lokatora Belwederu i pogoni za wystraszoną nomenklaturą, gra nie byłaby chyba warta świeczki. Należy więc wierzyć, że chodzi o coś więcej. Niestety z różnych deklaracji programowych Centrum na razie nie da się odczytać nic ponadto a sam Wałęsa który sprzyja owemu porozumieniu, również jakby nabrał wody w usta. Gwarantem blankietowych deklaracji ma pozostać jedynie jego osoba. Zapowiada przy tym, że zwycięży w stosunku 4:1.

Jako przeciwwaga Centrum wyłonił się Ruch Obywatelski — Akcja Demokratyczna. Patronują mu publicyści skupieni wokół „Tygodnika Powszechnego”, a także sierpniowi przywódcy robotniczy Frasiński i Bujak. Tadeusz Mazowiecki, któremu poczynania ROAD są niewątpliwie bliskie, długo wahał się, czy podjąć wyzwanie rzucone przez Wałęsę i czynnie poprzeć swoich przyjaciół stając do walki o prezydenturę. Kiedy się jednak zdecydował, okazał się człowiekiem czynu: jako pierwszy został zarejestrowany przez Państwową Komisję Wyborczą na oficjalnej liście kandydatów. Ludzie Wałęsy czekali, aż zbierze on pół miliona podpisów, pięć razy więcej niż wymaga tego ordynacja. Jego sztab wyborczy dba o takie teatralne gesty, mają one już na samym wstępie rozbroić ewentualnych konkurentów przewodniczącego.

Wałęsa również wykazuje właściwy mu szowinizm, rozjeżdża się rządową lamelą po Pol-

sce. Zapowiadając przewietrzenie Warszawy spotkał się z robotnikami huty „Warszawa”, pośpieszył do Krakowa, odwiedził Wielkopolskę, chce być wszędzie.

Tadeusz Mazowiecki ma niewątpliwie mniej czasu niż przewodniczący „Solidarności”, który wyłączył się z kierowania związkami i całkowicie poświęcił własnej kampanii wyborczej. Premier usiłuje godzić obowiązki państwowe z prezentacją własnej osoby na wiecach i masówkach, gdzie zresztą nie czuje się najlepiej. Nigdy nie był demagogiem i krzykaczem, nie obiecuje więc niczego czego nie mógłby dotrzymać. Wstydzi się używać służbowego samochodu do własnej kampanii wyborczej, podróżuje więc pociągami, często II klasą, albo lata rejsowymi samolotami. Nie jest to poza, gdyż udowodnił całym swoim życiem, że jest człowiekiem wyjątkowo skromnym, choć w tym wypadku jest to chyba skromność nadmierna, którą może przyplacić zdrowiem. Ale jest to postawa zgodna z jego życiową filozofią. Mazowiecki to niewątpliwie najpoważniejszy konkurent Wałęsy, nie pozbawiony szans na ostateczne zwycięstwo. Rozumie to także Wałęsa, ulubieniec tłumów, tracąc niekiedy równość siebie, gdyż kampania prezydencka kosztuje go wielu wypróbowanych przyjaciół, którzy nieoczekiwanie dla niego znaleźli się w przeciwnym obozie.

Takim zaskoczeniem dla Wałęsy było zgłoszenie własnej kandydatury przez Władysława Siłę-Nowickiego. Również Leszek Moczulski, który widział w Wałęsie jedyne człowieka zdolnego do wysadzenia z siodła Wojciecha Jastrzębskiego, kiedy generalnie sam postanowił skrócić własną kadencję, nieoczekiwanie zmienił zapatrywania i samodzielnie pretenduje do miejsca w Belwederze. Jest nawet pomawiany przez ludzi z otoczenia Wałęsy o tajne porozumienie z ludźmi premiera, Moczulski jest jednym z tych pretendentów, którzy mogą odebrać część głosów przewodniczącemu. Z próby zbierania podpisów wyszedł zwycięsko kandydat lewicy Włodzimierz Cimoszewicz, a także przywódca PSL Roman Bartoszcze. Decyzja przywódcy chłopskiego o kandydowaniu na prezydenta została przez Wałęsę odebrana jako zamach na jego elektorat: nieprzypadkowo przecież jeździł pod Mławę. Bartoszcze to poważny przeciwnik, może zebrać sporo głosów. Stawia to pod znakiem zapytania zwycięstwo przewodniczącego „Solidarności” już w pierwszej turze, a wiadomo, że w dogrywce wiele rzeczy może się zdarzyć.

Machina wyborcza została więc uruchomiona. W Łodzi działa ona jeszcze dość niemrawo, dopiero ostatnio pojawiły się pierwsze plakaty z fotografią Tadeusza Mazowieckiego i hasłem „Twój prezydent”. Plakat jest szary, mało efektowny, widocznie sztabowi premiera brakuje pieniędzy. W każdym razie to pierwszy zwiastun rywalizacji, jeśli nie liczyć wizyty Jarosława Kaczyńskiego na Uniwersytecie i pojedynku lwony Katarasińskiej-Siedzińskiej z Andrzejem Kernem w Klubie Inteligencji Katolickiej. Pojedynki ten oceniony przez lokalną prasę jako nudny nie przyniósł zwycięstwa ani ROAD, ani Centrum. Główne atrakcje dopiero nas czekają, kiedy przyjadą tu osobiście Mazowiecki i Wałęsa.

Sztab wyborczy Wałęsy zdołał wmówić wielu ludziom, że w pojedynku tym chodzi o wybór osób. W rzeczywistości pojedynek ten zadecyduje o przyszłym kształcie Polski, wykracza poza samą sprawę prezydentury. Sztab wyborczy premiera ukuł hasło: Mazowiecki to pewność. Tak też walka ta odbierana jest przez zagranicznych obserwatorów. Szala sympatii prasy światowej przechyla się na rzecz Mazowieckiego i nie jest to bynajmniej rezultat zabiegów Adama Michnika.

Ale nas zawsze cechował polonocentryzm, nie całkiem zrozumiały dla świata, skoro słowo Europejskiej ma u nas często posmak obelgi. Dlatego wszystko jest możliwe, co prawda dopiero w drugiej turze. Jeśli jednak kampania wyborcza przekroczy granice przyzwyczajenia triumfu zwycięzcy może być zawartość niesmakiem, który długo jeszcze będzie się nam odbijał czkawką.

Plagą schroniska są pijacy

Schronisko dla bezdomnych im. Adama Chmielowskiego w Łodzi. Podłużny, parterowy budynek. W środku ciasno. Korytarz, nieduży pokój, piętrowe łóżka. Przy każdym łóżku półka i szafa o wyglądzie kasy pancernej.

— Obecnie mamy 11 pensjonariuszy — informuje zastępca kierownika schroniska, Bernard Klamut — ściślej mówiąc dziesięciu, gdyż jedenasty jest w trakcie przyjęcia.

Ow „jedenasty”, 47-letni mężczyzna z dużym, świeżym szwem na prawym policzku, sprawia wrażenie mocno znerwicowanego.

— Jestem z żoną w separacji — opowiada — Dotąd ciągle się kłóciliśmy, dochodziło do bójek. Przecież tak dłużej nie może być. Musiałem ustąpić. Będę tu tak długo, dopóki moje stosunki z żoną jakoś się nie ułożą.

Nie on jeden znalazł się tu z powodu żony. Inny pensjonariusz — według opinii wychowawców — cichy i spokojny człowiek zamieszkał w schronisku po tym, jak krewka żona wyrzuciła go z domu. Czterej byli więźniowie również nie mają po co wracać do domu. Zostali wymeldowani podczas odbywania kary, a byłe żony nie chcą ich znać. Tylko dwaj 18-letni chłopcy nie mają powodu, by narzekać na żony, bo ich nie mają. Obaj przeczytali w gazecie, że w Łodzi znajdują pracę zgodną z ich zainteresowaniami. Przyjechali więc do Łodzi wydając ostatnie pieniądze na bilet. Informacja w gazecie okazała się nieaktualna, a chłopcy nie mieli pieniędzy na drogę powrotną. W tej sytuacji nie pozostawiło im nic innego, jak zgłosić się do schroniska. Tu znaleźli pracę dorywczą. Po wypłacie zamierzają wrócić do swoich rodzinnych stron.

Pensjonariusz Schroniska im. Brata Alberta z Bielic przyjechał do Łodzi, aby odnaleźć świadków, którzy potwierdziliby jego pobyt w obozie dziecięcym w czasie wojny. Kiedy uda mu się to osiągnąć, również zamierza opuścić łódzkie schronisko. Co jednak będzie dalej z byłymi więźniami — tego nikt nie wie.

Byli więźniowie nie mają szans na znalezienie pracy — mówi z-ca kierownika B. Klamut. — Dlatego po opuszczeniu schroniska zazwyczaj kradną.

Przejściowy dom

Pierwszą czynnością dwóch eks-więźniów po opuszczeniu schroniska było włamanie do mieszkania. Lokatorzy złapali ich na gorącym uczynku i przekazali policji. Inny eks-więzień uznał, iż nie trzeba opuszczać schroniska, by dokonać włamania. Można go jednak w pewnym sensie uznać za ofiarę bezrobocia. Był z zawodu piekarzem. Kierownik schroniska usiłował załatwić mu pracę w piekarni, ale jej właściciel, który poprzednio zatrudniał również pensjonariusza schroniska — pijaka i nieroba — nie chciał ryzykować po raz drugi. Bezrobotny eks-więzień znalazł więc lepszy niż praca środek na zdobycie pieniędzy — włamanie. Pech chciał, że tuż po telefonie z policji zawiadamiającym o przestępczym czynie pensjonariusza, kierownik schroniska odebrał telefon od piekarza, który zdecydował się zatrudnić eks-więźnia. Niestety, było już za późno.

Rekord w kradzieży pobił jednak pewien bohater programu „997”. Po odsiedzeniu kary za korupcję i przyjmowanie łapówek (jak twierdził, nie mniejszych niż 1000 dolarów) trafił do schroniska. Tu zaskarbił sobie uznanie wychowawców i kierownictwa.

— Był sympatyczny, inteligentny i pracowity. — Opowiada B. Klamut — Miał mnóstwo pomysłów. Twierdził, że jest magistrem ekonomii. Pokazywał zaświadczenie stwierdzające, że jest udziałowcem jednej z wrocławskich spółek, która tymczasowo zawiesiła działalność. Nie było podstaw, by w to wątpić. Wszyscy pamiętaliśmy go dobrze z programu „997”. Mielśmy do niego takie zaufanie, że postanowiliśmy przyjąć go do pracy w schronisku.

W nocy z 8 na 9 października sympatyczny i inteligentny eks-lapówkarz najpierw okradł swoich kolegów, a później dokonał włamania do biurka i szafki kierownika schroniska rabując 138 tys. zł. Wcześniej jednak martwiąc się o należyty wypoczynek wychowawcy namówili go, by poszedł do domu.

Pensjonariuszami schroniska są jednak nie tylko złodzieje i wyrokowcy, ale i tzw. porządni obywatele, którzy mieli pecha w życiu. Nie brak również wybitnych indywidualistów. Zaliczyć można do nich pewnego bezrobotnego z Sieradza, który trafił do łódzkiego schroniska jako ofiara grupowego zwolnienia. Ow bezrobotny miał wykształcenie średnie ogólnokształcące i powołując się na nie, kategorycznie odmawiał zmywania po sobie naczyń, uważając to za czynność uciążliwą. Ten sam człowiek odrzucił 6 ofert pracy, gdyż one również uciążliwy jego godności (dozorcy, magazynier). Wkrótce okazało się, że wszystko co ów bezrobotny mówił i mówił (poza tym, że jest bezrobotny) było kłamstwem. A więc nie mieszka w jednopokojowym mieszkaniu z liczną rodziną, ale w dwupokojowym sam z matką. W tej sytuacji został ze schroniska wydany.

Wszyscy pensjonariusze w miarę możliwości zobowiązani są do pracy na rzecz schroniska. A pracy jest dużo. Trzeba wyremontować szopy zanim zrobi się zimno. Od czasu do czasu pensjonariuszy zatrudnia po sąsiedzku właściciel zdevastowanego pałacyku.

— W przyszłości mamy zamiar podjąć działalność gospodarczą — mówi z-ca kier. B. Klamut. — aby mieć własne pieniądze na utrzymanie schroniska.

Od czerwca do października Schronisko im. Adama Chmielowskiego w Łodzi stało się przejściowym domem dla 33 osób. Ich czas pobytu wynosi od 1 do 68 dni. 80 proc. pensjonariuszy otrzymało białiznę, buty i odzież pochodzącą z darów. Ponad połowa została wydaloną za picie alkoholu lub uciekła bez wymeldowania.

MAGDALENA GROCHOWALSKA

Zwolennicy ustawy powybijali jej szyby

Czy grozi nam wojna gangów?

Są rozżalone i bezsilne. Właściwie nie one, ale oni — bo są wśród nich również mężczyźni.

— To potworne uczucie — mówi 18-letnia Ola — gdy ma się świadomość, że nie można kierować własnym losem. Człowiek chce się bronić, ale zamykają mu usta zanim zdąży je otworzyć. Przecież nawet najgorszy przestępca ma prawo do wypowiedzenia w sądzie swoich racji — my nie!

Wszyscy są uczniami szkół średnich i protestują przeciw projektowi ustawy „O ochronie dziecka poczętego”. Właściwie protestowali, bo dziś już wiedzą, że ich protest nie da.

— Rozwieszałem z koleżanką ulotki informujące o demonstracji — opowiada 18-letni Piotr.

— Za nami szedł siwy pan i zdierał ulotki z muru. Spytałem co robisz, a on wrzasnął: „Ty ch... najpierw rozbij dzieci, a potem je chcesz mordować. Takim jak ty powinno się obcinać!”

— To jeszcze nie — przerywa 17-letnia Ania — kiedy rozwieszałem ulotki, rzucił się na mnie z pięściami jakiś facet krzycząc: „Ty k... powinno się was wieszać, a nie tylko wsadzać na dwa lata”. Całe szczęście, że szłam z bratem, bo ten facet zachowywał się tak, jakby chciał sam zaraz na miejscu wykonać na mnie wyrok.

— To nie są ludzie wierzący — mówi 19-letnia Beata — to są fanatycy, ludzie chorzy psychicznie. Wierzący jesteśmy my — bo bronimy świętego prawa do wolności, jakie dał nam wszystkim Bóg.

20-letnia Agata mieszka na

parterze. Po tym, jak zbierała na swoim osiedlu podpisy pod protestem do Sejmu i Senatu RP, zamiast szyb ma w oknach dykty. Zwolennicy ustawy powybijali jej szyby.

— Ja nie miałam nigdy takich historii — mówi 19-letnia Iwona — ale kiedyś zatrzymała mnie w windzie sąsiadka i powiedziała: „Jestem z wami całym sercem, ale po co się narażać? I tak kobiety będą usuwać ciążę, tylko będą to robić po cichu u znajomych lekarzy, a wy mówicie o tym głośno i przez to się narażacie”.

— Wiele mnie ta sprawa nauczyła — mówi Agata — przede wszystkim zrozumiałam, że w naszym kraju nigdy nie będzie demokracji. To chyba jakieś zboczenie narodowe; jeśli nie mamy nad sobą zaborcy czy okupanta, to sami jesteśmy dla siebie zaborcą i okupantem.

— A ja nie tylko wiele się nauczyłam, ale i wiele zrozumiałam — dodaje Ola — między innymi zrozumiałam zjawisko terroryzmu. Terroryzm rodzi się z bezsilności.

Czyżby więc groziła nam „wojna gangów” między zwolennikami i przeciwnikami przerwania ciąży?

— Być może — odpowiadają przeciwnicy ustawy — ale jeśli nawet do niej dojdzie, to trzeba pamiętać o tym, że nie my ją zaczęliśmy.

MARIA TOMICKA

PS. Wszystkie imiona zostały zmienione.

Nasza mini - sonda

Różnymi racjami kierują się zarówno zwolennicy jak i przeciwnicy kontrowersyjnego projektu ustawy „O prawnej ochronie dziecka poczętego”. Racje te są czasami bardzo zaskakujące i dlatego warto je poznać.

41-letnia katoliczka, panna, bezdzietna:

— Jestem zwolenniczką ustawy, ponieważ uważam, że kobieta, która nie chce mieć dziecka, nie powinna podejmować współżycia. To jest najstarszy i najprostszy środek antykoncepcyjny. Ustawa powinna jednak dopuszczać możliwość przerwania ciąży w przypadku gwałtu.

25-letnia studentka, panna, bezdzietna:

— Popieram ustawę. Uważam, że posiadanie lub nieposiadanie dzieci to kwestia przeznaczenia. Zachodzą w ciążę te kobiety, którym to pisane.

16-letnia uczennica LO:

— Mój ojciec jest ginekologiem. Jeśli nastąpi zakaz przerwania ciąży, po kilku zabiegach będzie mógł kupić nowy samochód, a ja liczę na większe kieszonkowe. Dlatego opowiadam się za ustawą.

Pani w średnim wieku:

— Popieram ustawę, dlatego doznałam szoku, gdy moja przyjaciółka również popierająca ustawę poddała się zabiegowi. Powiedziała, że jest zwolenniczką ustawy tylko dlatego, że chce zrobić karierę polityczną i liczy na poparcie Kościoła. Zarówno dziecko jak i opowiedzenie się przeciw ustawie przeszkodziłoby jej w zrobieniu kariery.

24-letnia studentka, zamężna, jedno dziecko:

— Opowiadam się za ustawą, ponieważ ciąża nie bierze się „z wiatru”. Jeśli małżeństwo nie chce mieć więcej dzieci, to jest na to prosty sposób: mężczyzna może poddać się sterylizacji.

Ksiądz katolicki:

— 2 lata więzienia dla osoby dokonującej zabiegu to za mało. Uważam, że karę powinno się zwiększyć do 10 lat.

Emeryt:

— Jestem za ustawą, bo jest za nią Kościół. Czy jest słuszna? Nie wiem, nie zastanawiałem się nad tym.

M. T.

— Był pan pierwszym, który naruszył monopol Narodowego Banku Polskiego. Jak dotąd, jedynie panu udało się stworzyć bank, który w ciągu 2 lat osiągnął obroty, stawiające go na równi z dużymi bankami państwowymi. Czy czuje się pan polskim Lee Iacocca?

— Już mnie tak kiedyś nazwał dziennikarz Karol Sawicki, wróżąc mi — a było to w 1988 roku — szybką karierę. Głosiłem wtedy oficjalnie, że pragnę założyć mały, regionalny bank, pod hasłem „pomóżmy sobie sami”. Wszyscy mieli się zmieścić w jednym lokalu, od kasjerki do prezesa, najwyżej 30–40 osób. Mówiąc tak, widziałem to już wówczas inaczej. Używałem tej retoryki, bo trafiała do ówczesnych decydentów. Odpowiadała również potrzebom naszych pierwszych udziałowców i zarazem klientów. Nie czuję się dzisiaj wobec nich oszustem. To, co im obiecałem, spełniło się we wrześniu ub. roku — 3 oddziały i 2 pro-

rozumień i przestrzegam, aby w działalności LBR nie było ani śladu polityki.

— A jak pan sądzi, czy publiczne przyznanie się do komunizmu nie zaszkodzi firmie LBR?

— Może dzisiaj... ale z pewnością nie w przyszłości. Dążymy podobno do kapitalizmu, w którym rządzi pieniądź, a nie ideologia. Nikogo nie będą obchodzić prywatne poglądy człowieka, który spełnia reguły tego systemu.

— Proszę wybaczyć ciekawość: jak pan łączy wyznawanie komunizmu z prowadzeniem banku, bynajmniej nie państwowego?

— Ale też wcale nie prywatnego... Na to trzeba spojrzeć z historycznej perspektywy. Co my usiłujemy dziś zrealizować? Pragniemy zbudować kapitalizm zachodni z pierwszej połowy XIX wieku, będąc na etapie tzw. pierwotnej akumulacji kapitału. W Anglii to był XVII i XVIII wiek, w USA — stulecie później. Nie wiem, czy

sytuację finansową. W zasadzie — tak to oceniam — LBR mógłby obecnie upaść wyłącznie z powodu błędów kierownictwa. Gdybym zaczął podejmować błędne decyzje i nie został powstrzymany, mógłbym doprowadzić do plajty. Ale przecież nie stawiam sobie takiego celu. Przeciwnie: pragnę uczynić mój bank jeszcze bezpieczniejszym, bardziej odpornym na wstrząsy.

— W jaki sposób?

— Reguła jest taka, że im bank jest większy, im większe ma obroty, tym jest bezpieczniejszy. Owszem, mogą powstawać nieduże, regionalne banki, ale pod warunkiem, że zwiążą się w jeden system z bankiem-liderem, albo z większą liczbą małych banków.

— Jaki stąd wniosek dla LBR?

— Wybraliśmy ten pierwszy model, pozostaje więc jednak droga: zwiększanie sumy obrotów pieniężnych, sieci oddziałów operacyjnych itp. Można to uczynić, mając m.in. do dyspozycji większy kapitał akcyjny. Dlatego też wkrótce ukazać się nowe 5 i 6 emisje akcji. Odpowiadając na wyraźne życzenie dotychczasowych akcjonariuszy, zapewniamy im preferencyjny zakup dwóch trzecich tych emisji.

— Czy nie jest to sprzeczne z interesem finansowym banku?

— To, że udziałowcy chcą sobie zapewnić dotychczasowy procent udziałów, jest raczej normalne. Niepokoi mnie natomiast to, że mamy akcjonariuszy, którzy — gdyby się ze sobą umówili — byłiby w stanie zablokować nam każdą uchwałę. Taka sytuacja jest na świecie niedopuszczalna.

— Jak ją zmienić?

— Należy zwiększyć liczbę akcjonariuszy, dokonać większego rozproszenia kapitału. Te najnowsze emisje będą — mimo wszystko — krokiem w tym kierunku, gdyż część akcji znajdzie się na rynku.

— Co Łódzki Bank Rozwoju uczynił dla rozwoju Łodzi? Czy współpracuje w tej mierze z władzami miasta?

— Współpraca z władzami jest enigmatyczna. Nie jestem w stanie wskazać żadnego przedsięwzięcia, które byśmy wspólnie z władzami dla tego miasta zrobili. Zaproponowaliśmy gruntowną modernizację Śródmieścia Łodzi — bez specjalnego odzewu. Władze są nadal zbyt zaangażowane w politykę. My to przedsięwzięcie jednak zrealizujemy, bez względu na współpracę z władzami. Kiedyś była nam ona niezbędna. Teraz — już nie. Poradzimy sobie nawet sami. Myślę, że naszym partnerem będą prywatni właściciele kamienic w śródmieściu. Jestem gotów wyciągnąć do nich rękę z grubymi pieniędzmi.

— Czyżby na słabości tej współpracy zaciążyły różnice w poglądach politycznych?

— Absolutnie nie. Jedyną przyczyną jest — tak sądzę — zaabsorbowanie władzy bieżącą polityką.

— Pytanie z innej beczki: co pan sądzi o reformie NBP?

— Nawet nie wiem, o jaką reformę chodzi! Te 9 banków komercyjnych, powstałych z podziału NBP, pozostaje w gruncie rzeczy agendami „centrali”. Oczywiście, ich samodzielność jest teraz nieco większa, ale nadal nieduża. Jest ona raczej funkcją ambicji niektórych prezesów banków, którzy usiłują wyrwać się ze skostniałego systemu.

— Czy nowo powstające banki mogą stać się pożądaną konkurencją?

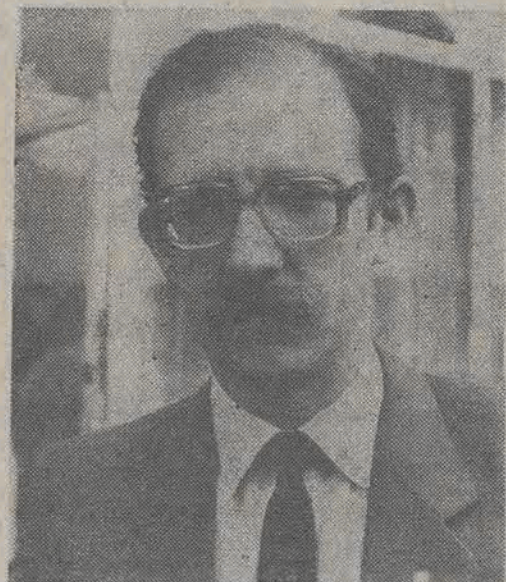
— Byłoby dobrze, gdyby zarządy tych małych, tworzących się dopiero instytucji finansowych zechciały uwierzyć, że ich wzajemna konkurencja jest głupotą. Powinny one z sobą współpracować, aby ich połączony potencjał stał się siłą, zdolną przynajmniej zrównoważyć siłę banków państwowych.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
ANDRZEJ GĘBAROWSKI

Bank jest apolityczny

Rozmowa z JANUSZEM ŁUCKIM — prezesem Łódzkiego Banku Rozwoju.



„Jestem człowiekiem o poglądach komunistycznych”

Foto: Grzegorz Galasiński

mille obrotu pieniężnego w Polsce. Obecnie nasze obroty doszły do 8 promille. Gdyby już nic więcej nie udało się nam osiągnąć, to i tak będę mógł powiedzieć, że dzieło mojego życia zostało spełnione.

— A jednak nie wszystko się panu udało. W początkach lat osiemdziesiątych zakładał pan Komunistyczny Związek Młodzieży Polskiej. O ile wiem, nigdy nie odzyskał pan od swoich ówczesnych, mocno lewicowych poglądów. A zatem — porażka wyznawanej idei?

— Owszem, porażka. Ja rzeczywiście nie zmieniłem poglądów. Jestem nadal człowiekiem o poglądach komunistycznych. Lewicowych — to za delikatnie powiedziane. Niedawno, w czasie wizyty mera Lyonu w Łodzi, gdy zgromadzone towarzystwo wysławiło swój solidarnościowy rodowód, ja przedstawiając się powiedziałem m.in., że jeśli już prezentujemy się od strony politycznej, to i ja zacznę od tego, że jestem komunistą. Zostało to — zapewniam pana — sympatycznie przyjęte. Francuzi powiedzieli mi potem, że dla nich bank jest instytucją apolityczną, zatem poglądy jego prezesa ich nie interesują i nie przeszkadzają w interesach. Dokładnie tak samo to

musimy koniecznie przejść przez to piekło, czy jakoś przeskoczymy, ale wiem na pewno: dojdziemy do współczesnego, zachodniego systemu rynkowego, ale z dużym sektorem państwowym, z rozbudowaną opieką socjalną, interwencjonizmem rządu itp.

— Ależ to jeszcze nie komunizm, to zaledwie wizja socjaldemokratyczna...

— Komunizm może zapanować w kraju, gdzie dobrobyt jest tak wielki, że każdy obywatel zaspokaja swoje potrzeby, włącznie z najbardziej wysublimowanymi potrzebami duchowymi. Oczywiście, jest to możliwość potencjalna, którą trzeba dopiero osiągnąć, organizując inaczej niż w kapitalizmie dystrybucję towarów, usług itp. Warunkiem jest wszakże odpowiednia baza materialna, taka, jaką się tworzy w najbardziej rozwiniętych krajach świata. Jakże inna byłaby dziś sytuacja, gdyby w tych właśnie krajach rozpoczęto budowę socjalizmu, a nie na Wschodzie!

— Czy można więc zrobić taki skrót myślowy: rozwija pan swój bank po to, aby zapewnić warunki do szybszego rozwoju gospodarczego, w nadziei, że będzie to jakaś „cegielka” zbliżająca nas do komunizmu?

— Ja komunizmu nie dożyję. Nie można popełnić błędu Chruszczowa, obiecując, że nadejdzie on za lat kilkanaście czy kilkadziesiąt.

— Ale pan wierzy, że on w końcu nadejdzie?

— Tak, wierzę.

— Wracając do Łódzkiego Banku Rozwoju — jak jest duży, na tle innych banków?

— Zaraz po utworzeniu LBR „ruszyło” 9 banków komercyjnych, wydzielonych ze struktury NBP. Staliśmy się wtedy 16 co do wielkości bankiem w Polsce. Za nami było 1660 banków spółdzielczych. Ta kolejność utrzymała się do dzisiaj. Pomimo ogromnej dynamiki wzrostu, nie udało się nam na razie wyprzedzić któregoś z wielkich banków państwowych. W międzyczasie powstało ponad 40 nowych banków, które są od nas wielokrotnie mniejsze. Wyróżniają się jedynie Bydgoski Bank Komunalny oraz Bank Inicjatyw Gospodarczych. Cała reszta jest właściwie w stadium organizacji.

— Czy może się zdarzyć, że LBR zbankrutuje?

— Osiągnęliśmy już taką „masę bezwładnościową”, że ani panika wśród klientów, ani bankructwa przedsiębiorstw-udziałowców nie mogą spowodować naszego bankructwa. Mogą co najwyżej pogorszyć naszą

Zjawisko miało charakter epidemii i rozszerzało się w zaskakującym tempie. Policja rozkładała bezradnie ręce, nauczyciele — z niepokojem oczekiwali każdego kolejnego dnia.

21 września, około godziny 10 w szkole podstawowej przy ul. Gdańskiej w Łodzi rozdzwonił się telefon. „W szkole podłożona jest bomba” — poinformował dyrektora placówki nieznany acz dziwnie młodzieńczy głos. To był pierwszy sygnał.

W następnych dniach niemal codziennie rozlegały się alarmujące telefony w różnych punktach miasta: w budynku Uniwersytetu Łódzkiego przy al. Kościuszki 65, „Centralu”, „Grand Hotelu”, COBR, bankach. Nie podarowano nawet przedszkolakom ani wiernym — modlącym się w kościele. Najczęściej jednak dzwonek fatalnego telefonu rozbrzmiewał w szkołach.

„Cała ta „zabawa” zaczęła się 21 września” — potwierdza rzecznicz prasowy Komendy Wojewódzkiej Policji, Adam Antczak. „Tego dnia ewakuowano szkołę podstawową przy ul. Gdańskiej. Następnie co kilka dni otrzymywaliśmy meldunki o trzech, czterech telefonach dziennie do przeróżnych obiektów. A dalej, to już można powiedzieć o lawinie telefonów do szkół — od podstawowych poczynając, a na budynkach Uniwersytetu kończąc. Do 24 października zarejestrowaliśmy 161 tego typu incydentów. Na szczęście wszystkie telefoniczne pogroźki o podłożeniu bomby okazały się fałszywe”.

Jeden ze słonecznych, październikowych czwartków łódzka policja nie bez przyczyny nazwała „czarnym czwartkiem”. W tym bowiem dniu odnotowano aż 30 telefonów z informacją o wkrótce mającym nastąpić wybuchu i co za tym idzie — 30 interwencji policji i służb miejskich.

„Pierwszą ewakuację uczniów wiepotraktowali jako żart, na wesoło” — wspomina mgr Irene Rajch, wicedyrektor XXVI Liceum Ogólnokształcącego w Łodzi. Po kolejnym telefonie w kilka dni później, co najmniej połowa uczniów nie była zadowolona. Ale gdy po raz trzeci nauczyciele zamiast zaplanowanego tematu lekcji wpisywali do dzienników: ewakuacja — uczniowie klas IV piszący powtórzeniowy sprawdzian maturalny nie chcieli opuścić sali. To był ogromny stres!”

W pustej szkole zostali z własnej woli: dyrektor, pracownicy sekretariatu, kilku nauczycieli.

„Zostali ci, którzy poczuwają się do odpowiedzialności za szkołę” — dodaje mgr Rajch. „Nikt tak nie zna szkoły jak my nauczyciele. Szukając ładunku, zagladaliśmy wraz z policją w każdy kąt. Grupa antyterrorystyczna nie była wyposażona w żadne urządzenia, sprawdzali wszystko — na wycucie”.

Czwarty, mam nadzieję ostatni telefon informujący o podłożeniu bomby w budynku XXVI LO zadzwonił w czwartek, o godzinie 8 rano. Ewakuowaliśmy młodzież na boisko szkolne (jak najdalej od budynku), powiado-

mililiśmy policję. Grupa antyterrorystyczna przyjechała dopiero o 15.30 — tak wiele mieli tego dnia podobnych do naszej interwencji. Co czuję, gdy dziś dzwoni w naszej szkole telefon? Zwyczajnie — boję się!”

17 października, Szkoła Podstawowa nr 103 przy ul. Sienkiewicza. „Do godziny 10 wszyscy muszą opuścić szkołę. Będzie wybuch!” — informuje dyrektora szkoły piskliwy głosik. I choć przestroga nie brzmi zbyt

dyżurno, zawsze kilka karet pogotowia ratunkowego — taka jest procedura. Ile zatem wynoszą koszty jednego tak godnego pożalowania „dowcipu”? — pytam nadkomisarza Antczaka. „Koszty są ogromne” — pada odpowiedź. Jedna tego typu akcja policji oraz służb komunalnych przynosi miastu stratę około 1 miliona złotych. Rachunek jest więc prosty...”

Nie da się natomiast wycenić strat, jakie poniosła łódzka policja

sprawdzianu z matematyki, czy też po prostu, najzwyczajniej... dla hecy! (Telefonicznej „epidemii” nie pohańowała nawet zapowiedź kuratora — „wszystkie stracone godziny lekcyjne będą — kosztem ferii lub wolnych sobót — odrobione”).

Co im grozi, w jaki sposób odpowiedzą za swój czyn? Są młodzi, niepełnoletni. Grożą im jedynie orzeczenia sądów rodzinnych. Ci, którzy ukończyli 17 lat, będą odpowiadać przed kole-

Temat lekcji: Ewakuacja

MARZENA MRÓZ



Collage: Grzegorz Galasiński

poważnie, nikt nie śmie jej zlekceważyć. Nikt nie weźmie na siebie tak olbrzymiej odpowiedzialności. Dyrektor szkoły wykreca numer telefonu łódzkiej policji, informuje o incydencie. Nauczyciele pospiesznie wyprowadzają dzieci z budynku. Mimo że droga ewakuacyjna wiedzie przez piwnice i szatnie — nie ma czasu na zmianę obuwia czy narzucenie płaszcza. Na szczęście świeci słońce.

„Łódzka policja nie próżnowała” — przekonuje nadkomisarz Adam Antczak. „Angażowaliśmy do akcji najlepszych fachowców. Do każdej szkoły, do każdego obiektu z którego powiadomiono nas o odebranych telefonach z pogroźką: „podłożona jest bomba” — posyłałymi specjalną grupę antyterrorystyczną. Pięciu doskonałych przeszkolonych, sprawnych mężczyzn. Wraz z nimi, na miejscu potencjalnego zdarzenia przyjeżdżali funkcjonariusze z dzielnic. Nie bagatelizowaliśmy żadnego ostrzeżenia”.

Telefon dzwonił. Młodzież i dzieci ewakuowano z zagrożonych budynków. Okolicę penetrowała brygada antyterrorystyczna, policjanci, funkcjonariusze służb komunalnych. W pobliżu

w związku z dezorganizacją jej pracy.

Policja wykryła do tej pory siedmiu grasujących na terenie Łodzi sprawców „bombowych” dowcipów. Cała siódemka to uczniowie. Sami chłopcy. Dwaj — ze Szkoły Podstawowej nr 48, pozostali z liceów, m. in. XXI i XXVI oraz z Zasadniczej Szkoły Rzemiosła. Zostali ujęci dzięki temu przede wszystkim, że za zgodą łódzkiego kuratorium w większości szkół — wszystkie rozmowy telefoniczne były od pewnego czasu nagrywane. W taki to sposób policja zebrała sporo materiału dowodowego, pomocnego przy ustalaniu winnych. W jednym przypadku w rozszyfrowaniu „dowcipnisi” pomogli nauczyciele. Wskazali klasę, wytypowali „sprawcę”. Podobno sam się w końcu przyznał... Dwóch „wpadło” dzięki temu, że o swym zamiarze wykonania anonimowego telefonu do szkoły powiadomili kolegów. Zdarzało się, że pomysł „dowcipu” rodził się w szerszym gronie. Nieraz wiedziała o nim cała klasa!

Dlaczego to robili? Nie chcieli mieć lekcji, pomagali koleżankom z innych szkół uniknąć

giami do spraw wykroczeń. Rozważany jest natomiast pomysł — projekt, aby za błędy dzieci odpokutowali rodzice. Mieliby oni zwrócić koszty podjętych przez policję akcji — które niepotrzebnie wywołali ich synowie.

Moda na „zamachy bombowe” ogarnęła także Warszawę i Gdańsk, choć ich pomysł zrodził się w Łodzi.

Cała nadzieja w pewnej prawidłowości — moda jak to moda — każda przemija...

POSIADAMY

w sprzedaży
● TELEWIZORY
GOLD STAR
20 cali
Ł ó d ź,
ul. Piotrkowska 91
— sklep
tel. 32-20-65
49662

Niefortunny redakcyjny skrót okaleczył zakończenie mojego reportażu pt. „Ile jest ludzkiej krzywdy, ile wyplakanych łez...”, zamieszczonego w poprzednim numerze „Odgłosów”, zmieniając sens całego tekstu.

Porównajmy to, co wydrukowano:

„Moja teczka, założona do tej sprawy, spęczniała od kopii, wyciągów, notatek. A i teczek innych przeszło przez moje ręce wiele.

Ile w nich jest kłamstwa i kręactwa, obłudy i fałszu, brudu, ohydy. Ile jest też ludzkiej krzywdy, ile nieprzespanych nocy, wyplakanych łez...”

...z tym, co napisałem:

„...Rany boskie, czy nigdy nie doczekamy prawdy i prawa?”

A ja dzisiaj tego prawa, którego nie ma wciąż, mam po uszy. Oddałem właśnie kolejną porcję dokumentów. Moja teczka, założona dla tej sprawy, spęczniała od kopii, wyciągów, notatek. A i teczek innych przeszło przez moje ręce wiele. Jeszcze trochę i snić mi się zaczęła tekturowe teczki, szare, zielone, niebieskie — wytwory socjalistycznej praworządności — na biurkach, stołach, regałach, w prokuraturze, sądzie, policji.

Ile w nich jest kłamstwa i kręactwa, obłudy i fałszu, brudu, ohydy. Ile jest też ludzkiej krzywdy, ile nieprzespanych nocy, wyplakanych łez...

Ex uno disce omnes?

Ile też pojawia się w nich teraz nadziei, że już właśnie, że nareszcie...

Nadzieja — krucha rzecz. latwo ją zabić. Wystarczy jedno pociągnięcie pióra”.

Ex uno disce omnes — po jednym sądz o wszystkich. Gorzkie to uogólnienie, do którego uprawnia mnie nie tylko opisany w tym reportażu przypadek — historia pięcioletnich zmagani Józefa Nowickiego z Szynkielew, zmagani z organami ścigania i wymiaru sprawiedliwości, historia rozpaczliwej walki o prawo.

Powróciwszy do zawodu po ośmioletniej przerwie, obracam się od kilku miesięcy w kregu spraw, które toczą się po staremu, jak przed laty, chociaż tak wiele padło zapewnień...

I. W dzień czy dwa po opublikowaniu ostatniego reportażu odszukał mnie mieszkaniec Konstantynowa — Cezary Kaźmierczak.

— Proszę pana, mnie też wykończyła ta sama mafia co się zawięła na pana Nowickiego — powiedział, gdy się spotkaliśmy. Bez mała konspiracyjnie, bo ten zdaje się dziś bać własnego cienia. Zaszczuty, zniszczony. Osiągnął dno, ugrzązł w bagnie, jak sam powiada, na skutek tragedii osobistej, w którą z impetem, a stronnictwo zaangażowały się agendy państwa.

Nie prosił mnie o pomoc.

Przeciwnie, to on chciał pomóc — za moim pośrednictwem — J. Nowickiemu, przekazał mi pewne informacje, mające w jego mniemaniu związek z tamtą sprawą. Nie prosił o interwencję, upoważnił jednak do wykorzystania wątków swej opowieści, która jawi się w całości jako istny horror.

Horror ten rozpoczął się przed pięcioma laty, gdy pewnej majowej nocy wtargnęła do jego mieszkania z milicyjną obstawą sanitariusze, by zabrać go do szpitala psychiatrycznego. Protestował wówczas przeciwko temu, protestował ze szpitala, protestował przez następnych pięć lat — bez skutku. O bezskuteczności jego protestów przesądziło jedno pismo:

„Ile jest ludzkiej krzywdy” — post scriptum

JACEK INDELAK

Ds 937/85. Łódź, 1985.09.28. POSTANOWIENIE O OD-MOWIE WSZCZĘCIA POSTĘPOWANIA PRZYGOTOWAWCZEGO

Anna A. — wiceprokurator Prokuratury Rejonowej dla Dzielnicy Łódź-Bałuty po zapoznaniu zawiadomienia adw. Henryka Kaźmierczaka z dnia 15 maja 1985 r. w sprawie bezzasadnej hospitalizacji Cezarego Kaźmierczaka na zasadzie art. 258 par. 1 kpk postanowił

odmówić wszczęcia postępowania przygotowawczego w przytoczonej wyżej sprawie.

UZASADNIENIE

W dniu 23.05.1985 r. wpłynęło do tutejszej Prokuratury pismo z Prokuratury Wojewódzkiej z załączoną skargą adw. Henryka Kaźmierczaka. W toku przeprowadzonych czynności w trybie art. 258 par. 2 ustalono następujący stan faktyczny.

W nocy z 13 na 14 maja 1985 r. Zespół Wyjazdowy Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Łodzi ul. Sienkiewicza 137/141 przewiózł Cezarego Kaźmierczaka do Szpitala dla Psychicznie i Nerwowo Chorych im. dra J. Babińskiego. Przewóz pacjenta nastąpił na podstawie zlecenia wydanego przez Poradnię Zdrowia Psychicznego Łódź-Górna (lek. Wojciech W.) w oparciu o informację żony Cezarego Kaźmierczaka. Przewieziony do Szpitala im. dra Babińskiego celem zbadania Cezary Kaźmierczak wyraził zgodę na hospitalizację własnym podpisem w historii choroby. Hospitalizacja trwała od 14.05. do 2.08.1985 r., po czym C. Kaźmierczak został wypisany z zaleceniem dalszego leczenia psychiatrycznego. W trakcie pobytu ww. w

Szpitalu im. dra Babińskiego w wyniku obserwacji ustalono, że dotknięty jest on przewlekłą chorobą psychiczną — schizofrenia (tak w oryginale — przyp. J.I.).

W związku z tym, iż brak jest podstaw do wszczęcia postępowania przygotowawczego postanawiam jak na wstępie”.

Nigdy w życiu — będąc prokuratorem — nie podpisałbym tak fatalnie sformułowanego uzasadnienia. Po prostu obawiałbym się kompromitacji. Nie badając nawet sprawy, na podstawie samego prokuratorskiego postanowienia uznać można, że przymusowa hospitalizacja Cezarego Kaźmierczaka wzbudza, mówiąc ogólnie, poważne wątpliwości.

się nie liczyło. Postanowiono zrobić ze mnie wariata, próbowano mnie nawet ubezwłasnowolnić, nekano mnie wezwaniami do poradni psychiatrycznej, które dziwnym trafem — zanim trafiły do moich rąk — poniewierali się po klatkach schodowych, wędrowały za mną po zmianie adresu, podrzucały były nawet do zakładu pracy... A ja, naiwny, ośmieszałem się, popełniałem harakiri, prosząc o pomoc, błagając o zrozumienie, bo wszędzie, w milicji i prokuraturze, w urzędzie i sądzie, w przedszkolu córki i w szkole syna, wszędzie poprzedzała mnie opinia, ot, chory psychicznie!

Jak mogło do tego dojść, jaki mechanizm sprawił, że człowiek ten znalazł się w

matni, z której wciąż nie może się wyplątać?

— Niech się pan nie dziwi — wyjaśnia. — Moja żona pracuje w służbie zdrowia, jest wprawdzie technikiem, ale wobec jej służbowych i towarzyskich kontaktów ja byłem bez szans... Do tego mój następca, że się tak wyrażę, był wtedy funkcjonariuszem ZOMO. A ja? Zwykły robotnik z maturą wprawdzie, ale robotnik z konstantynowskiego „Eltoru”. Bez szans!... Zamknęto mnie w trakcie sprawy rozwodowej, przed rozprawą, na którą miałem przygotować świadków. A oni chcieli orzeczenia rozwodu z mojej winy. I udało się! Nie tylko to! Udało się mnie całkowicie zniszczyć!

— Nie, proszę pana, daleki jestem od obarczania mojej żony odpowiedzialnością za wszystko, co mi uczyniono. Fakt, uczestniczyła ona z początku w bezprawiu, rzuciła pierwszy kamień, który uruchomił lawinę. Potem jednak wszystko wymknęło się spod kontroli... Na własnej skórze doświadczyłem, że skoro w porę nie naprawi się błędów, trzeba popełniać następne fałszerstwa, żeby go zatuszować, trzeba też dopuszczać się kolejnych niegodziwości, żeby ta pierwsza nie wyszła na jaw!

Zaszczuty, zniszczony... Cytałem następne dokumenty, relacjonowałem dalsze szczegóły, przeprowadzałem inne rozmowy? Po co, skoro zatoczy się tylko wielkie koło i powróci do punktu wyjścia, do jednego prokuratorskiego postanowienia?

II. Odwiedza mnie Władysław

Pietrzak z Sobolewskich reportaż w starych „Odgłosach” (13.12.1981 r.) i w nowych („Strach blue”, nr 10 z 13.03.1990).

I on rozgoryczony, dziękując się sprawie, okazało się, że milicja wspólnie z sądem jest odpowiedzialna. Od niekorzystnego wyroku nie ma w której skatowatej przytomności, a utraty zdrowia, ci, którzy szkole straszili, żeby nie zeznać, ci, którzy pozbawili go li mu opinię, wszyscy zamiast krzywdę przesłać, ponieśli za to odpowiedzialność. I nie pozostała prawna została...

Dzwoni do me Zenobia Łukaszyńska 22-letniego Płaka głęboką nocą — 26 nika 1978 roku — łódka w jego nolicjanci. Wywlekł, gdy nie wrócił

— Nie mówiła o tem — opowiada matka Piotra — na tę z cementarza nie kazalam wyzabiła go milicja z poety, że przliświecili latarkami napis im przliś teraz, tyle się niewie pan, czy przy umorzył śledwo ko mordercom o jeszcze pracuje. Może są teraz w że odeszli w sio bre emerytury pan jakakolwiek wznowienie śledwszę szczerze odp

Trudna rozn Bardzo trudn wiedzieć, czym p że chociaż Bóg t sprawiedliwy?

O śmierci P wicza i inny przypadkach pierażu pt. „Morday skich mundura nr 1680, 07. 08. publikacji odesz kuratura Wojew dzi. Krótka telr mowa, pełna k przynajmniej dog bo w przeszło wało. Cóż jedn kulturalna, skort ra złudzenia?

Otóż, z formie widzenia nic s bić, droga praw czerpana, poza t le lat, a po droe amnestii. Jeśli l udostępnione m wglądu materij naszykowano ju teczki.

Niestety, zawt znam. Jeśli naw ni, to i tak resłam. Gromadzo teriał miał być „podkładkę” do dzłwa, aby wst

— bohater ostatniego „In-ach”, nr 50 z pierwszego w kolorze 31990 i nr 11
by, bo spo-
wiedliwości, a
co zrobiła
prokuraturą
nieodwracalne.
go dla niego
odwołania. Ci,
i go do nie-
do trwałej
ak również
anwali go i
wymusić zmia-
wrazie, któ-
pacy i psu-
wy oni, któ-
taszuczynić
ceni go, nie
powiedzial-
— droga
wzrpana.
Chicago
ewz. Matka
on, którego
paździer-
rywleki z
kianiu mi-
abrali. Ni-
anu przed-
a, placząc,
zawet tabli-
sneli, chociaż
eaa niej, że
a tylko cytat
i noca, za-
Nawet ta-
szadzał... Ale
menilo. Nie
okator, któ-
zto przeciw-
mojego syna,
oni sami?
icji, a mo-
ocu na do-
Czy widzi
kzansę na
zta, ale pro-
wadzić?
o.
mogę po-
czyć? Tym,
e na pewno
o Łukasie-
podobnych
a w repori-
w niebie-
„Odgłosy”
90. Po jego
w się Pro-
ka w Ło-
liczna ro-
nazji. Tyle
o, nowego,
cześnie by-
a że forma
o teś odbie-
alego punktu
e da zro-
ostała wy-
ymnielo ty-
zbyło wiele
tko zechę,
i lostana do
a śledztwa,
śpowiednie
aś tezek
nie w pel-
z się domy-
w nich ma-
a formalna
urzenia śle-
ko było —

jak chętnie mawiają prawni-
cy — lege artis.

— Skoro w porę nie napra-
wi się błędy — mówi, dla od-
miany, Cezary Kaźmierczak —
trzeba popełniać następne fal-
szerstwa, żeby go zatuszować,
trzeba też dopuszczać się ko-
lejnych niegodziwości, żeby ta
pierwsza nie wyszła na jaw!

Wiem doskonale, jak two-
rzyło się zawartość tego typu
teczek. Wiedzą o tym dosko-
nale milicjanci, prokuratorzy,
sędziowie, adwokaci, nie mogą
o tym nie wiedzieć. Nawet je-
śli nie uczestniczyli w podob-
nym procederze, musieli na-
trafić na jego ślady. Wielu
z nich na pewno buntowało
się przeciwko temu, niektórzy
głośno protestowali...

Po sprawie „szynkielew-
skiej”, po „konstantynowskiej”
i „bielawskiej” — następna,
tym razem „laska”.

III.

Przyjechali z Łasku prosić
mnie o pomoc. Zrozpaczeni,
zastraszeni, pełni niewiary w
sprawiedliwość i leką przed
prawem, które nieoczekiwanie
zaczęło obracać się przeciw-
ko nim.

— Na samym początku po-
pełniłem błąd — mówi on,
Piotr Bulzacki. — Nie jestem
mściwy, a i litosć mnie wię-
ła... Sądzi pan, że to nie wy-
starczy? Może i racja? Jak
ochłoniłem, przemówił rozsą-
dek. Po co mi zadzierać z mi-
licją? Łask miasteczko nie-
wielkie, do tego ja, zawodowy
kierowca. Podpisałem mu więc
to oświadczenie.

Oświadczenie pierwsze:
„Piotr Bulzacki... Niniejszym
oświadczam, że nie będę wy-
stępował na drogę sądową w
związku z pobiciem mnie i
mojego syna na terenie dy-
żurki MO przez funkcjonariu-
szy MO a szczególnie Henryka
R., który w stanie nietrzeź-
wym dopuścił się tegoż czy-
nu.

Oświadczenie składałem pod
warunkiem, że nie będę szy-
kanowany i prześladowany
wraz z rodziną przez tutej-
szych pracowników Rej. Urzę-
du Spr. Wewn. w Łasku za
zaistniały incydent”.

W kilka dni później P. Bul-
zacki uproszony zostaje o pod-
pisanie innego oświadczenia,
gdzie w pierwszym akapicie
wprowadzono istotną zmianę:
„Niniejszym oświadczam, że
nie będę występował na drogę
sądową w związku z pobiciem
mnie i mojego syna Roberta
Bulzackiego przez funkcyj-
niarzy (przerobione na „funk-
cjonariuszy” — przyp. J.L.) MO,
a szczególnie Henryka R., któ-
ry w stanie nietrzeźwym do-
puścił się tegoż czynu”.

— Mąż podpisał i to oświad-
czenie — komentuje żona —
choć usunięto, że miejscem
zajścia był komisariat. Jak
miał zresztą nie podpisać, sko-
ro tamten błagał, na kolana
przyklekał... Mówił, że chodzi
o jego życie, o reputację mi-
licji i takie tam... Przed podpisa-
niem trzeciej wersji opatrność
chyba męża powstrzymała.

DOKOŃCZENIE NA STR. 11

Jesteśmy powołani w konkretnym celu. Mamy za-
trzymywać sprawców na gorącym uczynku popełnia-
nia przestępstw. Stąd specyfika naszej jednostki i
legendy o niej krążące.

Poliejanci z workiem przestępców

MAREK JUŚKIEWICZ

Godzina 22. Miasto z wolna
usypia, chociaż wkrótce przeko-
nam się, że w rzeczywistości ten
sen nie przychodzi nigdy. W ba-
zie Kompanii Wywiadowczej
ruch dopiero się zaczyna. Kolej-
na zmiana za chwilę wyruszy w
teren. Najbardziej operatywna
jednostka łódzkiej policji zaczął
się na ciemnych ulicach czeka-
jąc na sygnał do akcji. Cywilne
wozy rozjeżdżają się w różnych
kierunkach. Jeżeli zajdzie po-
trzeba w ciągu kilku minut we-
sprą kolegów w każdym punkcie
miasta. Szybkość reakcji i mo-
bilność to ich główny atut.

Próby utworzenia specjalnych
jednostek milicji istniały już w
w połowie lat 70. Jednak ten
pomysł czekał na realizację aż
do początku tego roku. Od sty-
cznia 1990 r. w dużych miastach
rozpoczęto formowanie specjal-
nych grup — tzw. „brygad ty-
grysa”. Szybko okazało się, że
odnoszą one świetne wyniki w
zwalczaniu najbardziej dotkli-
wych przestępstw — włamań,
rozbojów i napadów. Jednostki
takie pomocne też były w ściga-
niu przestępców poszukiwanych
listami gończymi. Stąd coraz
większe zainteresowanie rozwo-
jem tej formacji.

Wyjeżdżamy z bazy. Po kilku
minutach sygnał podający naka-
zaną pozycję. Jesteśmy w rejonie.
Teraz wolniutko — tzw.
tempo patrolowe. Wokół cisza,
spokój — tylko na rogu stoją
dwie panienki i kilku nagania-
czy. To nieprawda, że po 22 nie
można zrobić zakupów, albo się
zabawić. Trzeba wiedzieć gdzie
i... mieć dużo odwagi.

Specjalna jednostka posiada
specjalne wyposażenie, choć do-
wódca narzeka na niedofinan-
sowanie i marzy o nowoczesnym
sprzęcie.

— Przestępcy korzystają dziś
z szybkich wozów, nowoczesnych
środków łączności, a my mamy
z nimi walczyć — żalą się funk-
cjonariusze. — Nadrobimy chęcia-
mi — to taka polska specyfika.
Ale już nie jesteśmy bezbronni,
jak próbuje się nas przedsta-
wiać. Świadczą o tym wyniki.
W ciągu dwóch miesięcy działa-
nia schwytałyśmy na gorącym
uczynku 115 sprawców i zatrzy-
maliśmy 77 poszukiwanych. Nie
ma dnia, kiedy nie ujawniliby-
my przestępstwa.

— Ktoś chodzi po sklepie!
Przyjmujemy sygnał i jedzie-
my. Na miejscu jest już radio-
wóz, ale tym razem to fałszywy
alarm. Powrót do sektora i znów
wylizanka — ulica po ulicy,
kwartał po kwartale.

— Dwóch ludzi włamuje się
do samochodu!

Znów nie mamy szczęścia —
inna ekipa była wcześniej. Kie-
rowca tu się wychował — zna
każdy kąt. Niedosyt, że to nie
my, ale akcja udana — wynik
jest.

Podjeżdżamy pod nocny sklep
z alkoholem. Nie minęła minuta
i facci o twarzach biznesmenów
znikają.

Co chwilę podjeżdża samochód.
Gdyby wszystkich sprawdzić, na
ulicach byłoby luźniej.

Na nasłuchu dyspozytor kom-
panii, a przez niego kontakt z
całym systemem łączności — z
WSK (Wojewódzkie Stanowisko
Kierowania), pogotowiem policji
(997) i innymi służbami. Od nie-
dawna Policja w Łodzi posiada
też nasłuch w paśmie obywatel-
skim (CB — Radio). Już po kil-
ku dniach były efekty.

Przez całą dobę kilkadziesiąt
osób patroluje miasto. Wszyscy
w kompanii to ochotnicy. Spot-
kali się tu ludzie młodzi, któ-
rzy uciekli od papierów i pra-
cy biurowej w innych jednost-
kach, aby robić to, do czego po-
licja jest powołana. W składzie
kompanii są też kobiety. Do-
wódca narzeka, że rwa się do
pracy operacyjnej bardziej od
mężczyzn, a przecież biuro
też musi działać — kompania
jest całkowicie odformalizowa-
na; nie ma nawet etatu sekre-
tarki.

Druga w nocy. Objeżdżamy
kolejny sektor. Jak dotąd cisza.
— Żadnych zgłoszeń i alarmów.
Może to zasługa częstych dziś
patroli mundurowych. Co chwilę
mijamy radiowóz.

Na Wieżkowskiego dwóch lu-
dzi stoi przed bramą obok skle-
pu. To potencjalni włamywacze.
Stajemy za rogiem i pieszo ob-
chodzimy ten rejon. Facci jak
duchy znikają w bramie. Po pa-
ru minutach powtórka, ale ulica
jest już pusta i cicha. Kilka dni
temu w czasie dwudniowej ak-
cji zatrzymano w tym rejonie 25
poszukiwanych.

Każda ekipa patrolująca mia-
sto jest wyposażona w specjali-
styczny sprzęt — karabinki ga-
zowe, specjalne zestawy do za-
trzymywania samochodów i siat-
ki obezwładniające. Taką sieć
wyrzucaną ze specjalnej wy-
rzutni oplata czule trafionego.
A później zapakować do wozu
i... do aresztu.

To chyba najbardziej nas
bulwersuje — mówią funkcyj-
niarze — że sprawców przez nas
schwytych po kilku dniach
zatrzymujemy ponownie. Tylko
w 10 procentach zatrzymanych pro-
kurator stosuje tymczasowe a-
resztowanie. Przestępcy śmieją
się nam w nos. Jeżeli dalej tak

będzie, ludzie zaczną odchodzić,
bo takie działania skutecznie ich
zniechęcają.

Godzinę jeździmy oglądając
puste ulice. Uwagę zwraca sa-
mochód stojący na środku jezd-
ni. Sprawdzamy. Pusty, otwarty
— podejrzenie kradzieży. Zgła-
szamy odnalezienie i czekamy na
potwierdzenie. Po kilku minu-
tach jest — kradzież nie była
zgłoszona. Właściciel nawet nie
wie, że samochód mu zginął.
Trzeba go odszukać. Mija cenny
czas — od kilkunastu minut sto-
imy w miejscu. Uzyskujemy
wreszcie adres właściciela. Je-
dziemy — kolejne pół godziny.
Właściciela nie ma, a sąsiedzi
informują, że samochód dwa la-
ta temu został sprzedany. Naby-
wca nie przejeżdżał wozu,
żeby uniknąć płacenia podatku.
Pozostaje zgłosić znalezienie w
Rejonowej Komendzie i wrócić
do akcji. Cała operacja wyłącza-
ła nasz wóz na niemal dwie
godziny. W międzyczasie wyłą-
czony został drugi wóz — także
z blahaego powodu. A noc jest
spokojna. Gdyby było inaczej,
operatywność kompanii została-
by poważnie ograniczona. Każdy
fakt trzeba przekazać właściwej
terenowo jednostce, a to trwa.

— Nie mamy tu ani kompu-
tera, ani telefaksu — mówi do-
wódca. Wciąż są to tylko plany,
choć do ludzi odpowiedzialnych
zaczyna wreszcie docierać, że
bez wyposażenia działać nie
można. Są też plany rozszerzenia
jednostki, która sprawdziła się
w działaniu. Zmienia się też na-
stawienie społeczeństwa. Kiedyś
przestępcy często korzystali z
ochrony przechodniów. Teraz nie
mogą już na to liczyć. Dochodzi
czasem do pościgów za sprawca-
mi niemal przy oklaskach lud-
ności.

Ważne też jest szczęście. Jeżeli
grupa ma fart, to przez noc na-
łapie worków bandziorów. Miel-
my taki wypadek — w czasie
obserwacji przypadkiem byliśmy
świadkami napadu na matkę z
dzieckiem. Kilku wyrostków by-
ło zupełnie zaskoczonych, kiedy z
piskiem opon zatrzymaliśmy się
obok nich. Zdezorientowani rzu-
cili się do ucieczki. Takie nie-
spodziewane własnienie się daje
pewien efekt psychologiczny —
natychmiastowa reakcja z naszej
strony uświadamia przestępcę,
że nie są już bezkarni. Teraz w
każdej chwili mogą spodziewać
się, że stojący nie opodal samo-
chód, albo spóźniony przecho-
dzień, mogą nagle przeistoczyć
się w błyskawicznie reagującą
samodzielną jednostkę łódzkiej
policji — kompanię wywiadow-
czą.

Mija piąta. Miasto ożywa.
Coraz więcej ludzi, coraz gęściej
na ulicach. Pora wracać do ba-
zy. Tej nocy nie było pościgów i
filmowych akcji. Tylko żmudna
praca w wyznaczonych sekto-
rach. Uzupełnienie paliwa, zmia-
na załóg i... kolejny wyjazd. Po-
szukiwania, obserwacje, patrole
— 24 godziny na dobę krąży po
mieście wozy Kompanii Wywia-
dowej Wojewódzkiej Komen-
dy Policji w Łodzi. Oby ich
ilość i sprawność ciągle rosła.
Przecież takiej policji wszyscy
sobie życzymy.

Pierwsze wrażenie było niekorzystne

„W końcu kwietnia 1938 roku objąłem Województwo Łódzkie. Na drugi czy trzeci dzień po przyjeździe spotkałem się ze świętym 1 Maja. Tłumy robotników defilowały w pochodzie pierwszomajowym, niosły transparenty z wypisanymi hasłami, wznosiły okrzyki. Niektórzy szli z „gazurkami” w ręku. Policja urzędowała fachurowo i taktownie. Podziwiałem jej sprawność. Wszystko odbywało się bez zakłóceń i poważniejszych incydentów. Gdy patrzyłem z okien starostwa na wychodzących na ulicę Piotrkowską, ogarnęły mnie wspomnienia saratowskie, kiedy szedłem w czołowej partii studentów pochodzących z pierwszomajowego w roku 1917. Oczywiście zachowałem to dla siebie i nie zdradziłem się przed asystującymi mi urzędnikami.

Tak przyjęła mnie Łódź... miasto nieznane, nieładne, nawet w wielu wypadkach obrażające, brudne, zadymione, ze sterczącymi na każdym kroku fabrycznymi kominami, zatrzymującymi powietrze. Domy łódzkie były ponure, nijakie”.

Autorem tych słów — opublikowanych w 59 numerze „Zeszytów Historycznych” z 1982 roku — był ostatni przed wojną wojewoda łódzki — HENRYK JÓZEWSKI. Przybył do Łodzi pod koniec kwietnia 1938 roku, a opuścił Łódź w pierwszych dniach września 1939 roku, już po opuszczeniu jej przez sztab Armii Łódź, przez jej dowódcę gen. Juliusza Rómmla.

Zanim przybył do Łodzi

Urodził się w 1892 roku w Kijowie. Ukończył tam Pierwsze Gimnazjum, a następnie wydział fizyko-matematyczny Uniwersytetu Kijowskiego. Był już maj 1914 roku. Zbliżała się wielka wojna białych ludzi — pierwsza wojna światowa. W czasach studenckich działał w Filarecji Kijowskiej, zorganizowanej na wzór wileńskiej. Związał się z ruchem niepodległościowym.

W lipcu 1914 roku pojechał w celach rodzinnych do Krakowa i przy tej okazji zetknął się z Walerym Sławkiem. Józefa Piłsudskiego nie było akurat w Krakowie. Chciał zostać w Galicji i wstąpić do Legionów, ale Waler Sławek nakazał mu wracać do Kijowa i tam organizować ruch niepodległościowy. Powrócił do Kijowa ostatnim pociągami. Po jego przejeździe przez most graniczny, most ten wysadzili austriacy saperzy. Tak został łącznikiem Legionów w Kijowie.

Działał w Naczelnej Komendzie nr 3 Polskiej Organizacji Wojskowej w Kijowie. Był tej komendy ostatnim komendantem i zajmował się jej likwidacją. Na początku stycznia 1920 roku przyjechał do Warszawy i odbył kilka rozmów z Józefem Piłsudskim. W rządzie Semana Petlury był wiceministrem spraw wewnętrznych. W 1923 roku wycofał się z prac publicznych. Osiadł jako osadnik w Naruszewie-

czach pod Wiśniowcem na Wołyniu. Zajmował się rolnictwem i malował. Ale już w maju 1925 roku objął stanowisko urzędnika do zleceń premiera, we wrześniu 1926 roku odbył inspekcyjną podróż po Wołyniu, a jesienią 1927 roku został szefem gabinetu premiera. W sierpniu 1927 roku został mianowany wojewodą wołyńskim i osiadł w Lucku.

Na początku grudnia 1929 roku zwołał w Lucku zjazd wojewodów ze wschodnich województw i w drugim dniu obrad przedstawił zarysy polityki wołyńskiej, czyli tak zwane TEZY WOŁYŃSKIE. Wyszedł z założenia, że Ukraińców nie można traktować jako nieświadomionej masy, ale jest to naród posiadający swoją tożsamość i dlatego nie ma sensu zwalczanie jego samoświadomości narodowej, bo nie uzyska się żadnego skutku, a nawet skutki wręcz przeciwnie do zamierzonych. Należy zatem pozyskać Ukraińców dla przyszłości i pomocy państwa polskiego.

Henryk Józewski zamierzał pozyskać Ukraińców na Wołyniu poprzez takie m.in. działania:

- usprawnienie administracji i wyrobienie w niej przychylności dla Ukraińców,
- zwiększenie udziału państwa w kształtowaniu życia na Wołyniu, co wymagałoby zwiększenia działalności inwestycyjnej oraz podnoszenia poziomu cywilizacyjnego,
- zwiększenie znaczenia samorządów,
- stworzenie warunków dla powstawania i działalności organizacji ukraińskich i rozwój szkolnictwa ukraińskiego,
- likwidację wpływów nacjonalistycznych ze Lwowa oraz wpływów z Moskwy i Berlina,
- stworzenie sieci organizacji społecznych, kulturalnych i gospodarczych, w których mogłoby współpracować ze sobą Polacy i Ukraińcy, a jednocześnie pozyskiwać Polaków dla idei federalcyjnej.

Henryk Józewski zamierzał uczynić Wołyń bazą dla działań zmierzających do walki o niezależną Ukrainę ze stolicą w Kijowie. Ściągał więc na Wołyń byłych petlurówców, emigrantów ukraińskich z różnych krajów, dawał im możliwość działania. Spotykało się to jednak z niechęcią zarówno bardziej radykalnie nastawionych Ukraińców, jak i Polaków. Henryk Józewski uważał bowiem, że Wołyń w kształcie nadanym mu przez traktat ryski pozostanie przy Polsce. Takie rozwiązanie sugerował też układ zawarty 21 kwietnia 1920 roku. Mówiło się tam — że granica między RP a URL będzie przebiegała: „wzdłuż rzeki Zbrucz, a następnie wzdłuż byłej granicy między Austro-Węgrami a Rosją do Wyszogródka, a od Wyszogródka na północ przez wzgórze Krzemienieckie, a następnie po linii na wschód od Zdobunowa, następnie wzdłuż wschodnich granic administracyjnych powiatu rowieńskiego, dalej na północ wzdłuż granicy byłej guberni mińskiej”. Ale przyjęcie takiego rozwiązania było już dla Ukraińców niemożliwe. Oni uważali zachodni Wołyń za integralną część

Ukrainy i nie chcieli się go zrzec, bo to podważałoby ich tożsamość narodową.

Pod ostrzałem krzytyki

Koncepcja Henryka Józewskiego bardzo szybko spotkała się ze sprzeciwem strony polskiej. Wprawdzie wokół siebie zdołał skupić wcale sporą grupę działaczy tak polskich, jak i ukraińskich, ale też szczególnie ostro atakowało go Stronnictwo Narodowe. Ostre ataki wyróżnił się między innymi generał Marian Januszajtis. Po śmierci Józefa Piłsudskiego krytyczny

Henryk Józewski pierwszy raz w 1930 roku zamierzał złożyć rezygnację. Józef Piłsudski nie zgodził się na to. Również w 1933 roku, gdy powtarzały się głosy domagające się odwołania wojewody wołyńskiego, Józef Piłsudski nakazał trwać na posterunku. Aprobował kierunki działalności Henryka Józewskiego. Ale w marcu 1938 roku zapadła wreszcie decyzja. Henryk Józewski odchodzi do Łodzi.

Jego następcą został generał Aleksander Hauke-Nowak. W przemówieniu programowym, wygłoszonym 18 marca 1939 roku w Lucku, krótko określił zasady

Na wygnanie do Łodzi

LUCJUSZ WŁODKOWSKI



Ostatni przed wojną wojewoda łódzki — Henryk Józewski.

stosunek do Henryka Józewskiego demonstrował marszałek Edward Rydz-Śmigły. W 1937 roku w Stratyńce wydał broszurę Stanisław Krasicki. Nosila ona tytuł: „Polityka wojewody Józewskiego na Wołyniu w świetle cyfr i faktów”. W broszurze tej autor zarzucił Henrykowi Józewskiemu, że swoją działalnością przyczynił się do rozwoju świadomości narodowej Ukraińców. Przede wszystkim za złe miał mu rozwijanie szkolnictwa ukraińskiego, ukraińszację Cerkwi Prawosławnej na Wołyniu, założenie Wołyńskiego Zjednoczenia Ukraińskiego (WOU), sprowadzanie działaczy ukraińskich z innych regionów Polski i spoza granic. Zarzucił mu pobłażliwość wobec terroryzmu Ukraińców, rozbijanie jedności narodu polskiego, oddanie samorządu w ręce ludzi o przeszłości kryminalnej, kierowanie się przy obsadaniu stanowisk starostów względami politycznymi, a nie moralnymi i kompetencjami. Broszurkę tę autor zadedykował marszałkowi Edwardowi Rydzowi-Śmigłemu.

swojej polityki na Wołyniu: „1. Jesteśmy Polakami. 2. Wiara naszych Ojców jest wiarą naszych dzieci. 3. Polak Polakowi bratem. 4. Polska Matką naszą i nie można mówić o matce złe. 5. Swoboda w myśleniu, karność w działaniu — to nasze hasła”.

Wraz z Henrykiem Józewskim — w krótkim czasie po nim — odeszło wielu działaczy tak polskich, jak i ukraińskich z nim związanych. On sam natomiast w wiele lat później — w publikacji w „Zeszytach Historycznych” — tak określił swoją działalność na Wołyniu:

„1. Nigdy nie spotkałem się, aby uważano za potrzebne podanie do wiadomości, że w dniu w którym Wołyń znalazł się w granicach Rzeczypospolitej, tzn. w 1919 roku — miał on 15 000 dzieci w szkołach ludowych (prichodskich) a w roku 1938 na tym samym terenie uczęszczało do szkół ludowych 250 000 młodzieży. Niezwykłość tego zestawienia nie wymaga komentarzy (...)

2. Nikogo nie interesowało i było rzeczą nieznaną, że za polskich rządów na Wołyniu scalono i zmniejszono milion hektarów ziemi. Ale społeczeństwo polskie wiedziało, pisało o tym prasa, że Mussolini osuszył Błota Pontyjskie — liczące kilkadziesiąt tysięcy hektarów.

3. Nie uważano za stosowne podać do publicznej wiadomości, że plony zbóż na Wołyniu wzrosły czterokrotnie.

Skretnie i z uporem godnym lepszej sprawy konspirowano sukcesy hodowli bydła czerwono-polskiego, hodowlę koni i szereg pozycji gospodarczych przynoszących zaszczyt Wołyniowi i Polsce”.

W Łodzi

Henryk Józewski całe niemal swoje życie spędził na kresach poza okresem między rokiem 1920 a 1928, kiedy pełnił różne stanowiska w Warszawie i krótkim okresem między grudniem 1929 roku a czerwcem 1930, kiedy był

„Ile jest ludzkiej krzywdy” — post scriptum

DOKOŃCZENIE ZE STR. 9

Podpisałby i to, ale nie miał pod ręką długopisu. A jak się wczytał, zrozumiał, że wyrok na siebie by podpisał...

Trzecie oświadczenie:

„Niniejszym oświadczam, że nie będę występował na drogę sądową w związku z zajściem, jakie miało miejsce w dniu 07.01.1990 r. w Łasku między mną, synem Robertem Bulzackim a funkcjonariuszem MO Henrykiem R.”.

Pod tym dokumentem, który zamienia — nie wprost — napaść w bójkę, figuruje tylko podpis ppor. Henryka R., który podpisał i dwa poprzednie oświadczenia, przyznając się tym samym, że pobił Roberta i Piotra Bulzackich, będąc w stanie nietrzeźwym.

Cenne dokumenty, bezcenne wręcz. Ich wagę docenić będzie można dopiero w miarę dalszego rozwoju wydarzeń, bo z początku sprawa zdaje się być oczywista...

Co wydarzyło się w Łasku 7 stycznia 1990 roku?

— Była to niedziela, około dziewiętej wieczór — opowiada Piotr Bulzacki. — Ja siedziałem przed telewizorem. Dzieciak leżał z młodszym na tapczanie, czytał komiks. Przypomniało mi się nagle, że moja mama, która mieszka o sto metrów od nas, może czegoś potrzebuje, wylać pomyje, przynieść węgiel, a to staruszka... Zazwyczaj ja chodzę, ale tym razem posłałem starszego dzieciaka, znaczy Roberta. Minęło wszystkich 10—15 minut, Robert przyleciał do domu roztrzęsiony, błądy, siny, pokrwawioną miał twarz. „Tata, jakiś wariat mnie pobił, gonił mnie i pobił”. Rzucił się na fotel, trząsł się, płakał. Ubrałem się szybko, wzięłem dzieciaka za rękę. Idziemy na komendę, a komenda o paręset metrów, na Warszawskiej. Gdy wyszliśmy na ulicę, doskoczył do nas ten osobnik, chwycił dzieciaka za rękę, zaczął szarpać, był bardzo pijany... Przepraszam, ale ja się bardzo denerwuję w takich sytuacjach, tyle to już trwa. I w końcu to samo, ja już czterdzieści godzin byłem przesłuchiwany... Odepchnąłem go, wycofaliśmy się do domu po tej szarpaninie. Trochę też się bałem tego człowieka... Za chwilę wyszliśmy, jego już nie było, poszliśmy więc prosto na posterunek. I mówię tam: „Panowie, jakiś pijany osobnik pobił mi dzieciaka!” A było tam kilku milicjantów. I nagle, nie wiadomo skąd wyskoczył tamten, złapał mnie za kłapy i uderzył, a wtedy dwóch milicjantów złapało mnie z tyłu. Nie wiem, nie widziałem którzy. Byli z tyłu, ja zastraszony, ale ci, którzy byli tam, wiedzą dobrze, kto mnie trzymał, kto mnie bił... Upadłem, dalej biły, straciłem przytomność, ocknąłem się na krzeselku, zakrwawiona kurtka, twarz... Potem mówili milicjanci, że nie mogli odciągnąć ode mnie tego pana, usunąć go z dyżurki. Co gorsza, już po tym pobiciu pojawił się znów, nagle, dopadł do mnie, zaczął ciągnąć na górę. Kompletnie pijany, zamroczony, w jakimś strasznym amoku... A ja też zszokowany i pobiciem, i tym wszystkim, zwłaszcza że nie wiedziałem, że on jest u siebie, że to też milicjant... Boże, gdzie ja jestem? Nie wiedziałem, co robić. Zadzwońłem potem do brata, przyjechał w parę minut...

Snuje się długo ta opowieść... Kolejnych szczegółów poznam w następnych dniach wiele, włącznie z ustaleniami grupy operacyjnej z KW MO w Sieradzu, ściągniętej jeszcze tej nocy do Łasku przez braci Bulzackich, włącznie z zeznaniami Henryka R. Dowiem się też o problemach trzeźwości, o pobycie Roberta w szpitalu, o wizytach emisariuszy Henryka R...

Sprawa — zdawałoby się — oczywista. Tak oczywista, że Piotr Bulzacki, mimo trwającego śledztwa, bez przeszkód wyjeżdża za granicę na kilka tygodni. W miarę jednak upływu czasu...

— Już pod nieobecność Piotra się zaczęło — mówi jego żona. — Zaczęli nadoznaczać nasz dom, nagabywać sąsiadów, z którymi nie żyjemy zresztą w najlepszych stosunkach... Mieszkamy na parterze. W środku nocy łomotanie do okien, zrywam się, wyglądam i widzę, że spod domu odjeżdża milicyjny „Polonez”. I tak parę razy...

— Teraz to już jest otwarta walka przeciwko nam — wtrąca on. — A najgorsze, że nekają jawnie, oficjalnie mojego dzieciaka. Milicja zajeżdża do szkoły, odpytuje uczniów i nauczycieli, chcą zrobić z Roberta nieuka i łobuza... Proszę pana, kto by to pomyślał, żeby milicjant brał dziennik lekcyjny i oceny sprawdzał... Boję się, że zniszczą mi dziecko...

Zaczynają mu drgać ramiona, po policzkach toczą się łzy.

I te wezwania do prokuratury. Nie, już nie w charakterze poszkodowanego, nie w charakterze świadka, lecz... podejrzanego.

— Ten pan zdobył gdzieś obdukcję lekarską — wyjaśnia. — I chce mi zrobić sprawę, że to ja go pobiliem. Podobno miał stłuczoną nogę. Ja obdukcji nie robiłem, bo przecież mu darowałem, kiedy zaczął prosić... I niby to ja go wcześniej pobiliem, a potem to tylko on się szarpał ze mną na posterunku. I takie mają być dwie sprawy, oddzielne... Ja jestem teraz sam, osaczony, a jemu pomaga sztab ludzi.

Trwa śledztwo, przedłuża się, chociaż sprawa zdawała się być oczywista.

Zapelniają się teczki. Tekturowe teczki, na biurkach, stołach, regałach, w prokuraturze, sądzie, milicji. Excuse le mot, policji!

Zapelniają się teczki... Tych jeszcze nie pokrył kurz.

JACEK INDELAK

ministrem spraw wewnętrznych. I oto nagle przychodzi mu zmienić nie tylko miejsce pracy — z kresowego Wołynia na duże i skomplikowane województwo łódzkie, ale i krąg spraw. Już pierwsze zetknięcie z Łodzią wskazywało, że innymi — do tej pory mało znanymi — sprawami przyjdzie mu się zajmować. Stały przed nim trzy rodzaje nowych i trudnych problemów: 1. świat robotniczy, 2. świat wielkiego przemysłu, 3. wieś polska — tak różna od wsi ukraińskiej. A poza tym skomplikowane sprawy narodowościowe w samej Łodzi, gdzie żyły obok siebie wielkie skupiska Polaków, Żydów, Niemców.

„W Łodzi spotkałem inny świat...” — przyznawał po latach. — „Po raz pierwszy miałem do czynienia z rdzenną wsią polską”. Wysoko ocenił sprawność działania administracji wojewódzkiej. Pozwoliło mu to na wędrowki po wsi oraz... wizytację fabryk. „Moje pierwsze „wizyty” wywołały konsternację...” — przyznaje. Było to coś nowego. Zawiadamiał dyrektora, że chce poznać fabrykę. Przyjmowano go, opowiadano o problemach, składano sprawozdania. I chcieli, by tym kończyć. Ale wojewoda Henryk Józewski chciał zobaczyć to, o czym mówiono. Wtedy „padały propozycje zwiedzenia fabrycznych instytucji kulturalno-sportowych, oświatowych, sportowych”. Zwiędzono je, ale na tym się nie kończyło. Wymuszał pokazanie całej fabryki. Budziło to zaniepokojenie, ale z czasem przyzwyczajono się.

Nieprzywykli byli też do tego robotnicy. „Nasze wejście — pisał Henryk Józewski w „Zeszytach Historycznych” — przerywało pracę, przyglądano się mojej osobie w milczeniu. Uchyliłem melonik i witałem się z obсадą sali. Robotnicy nie reagowali. Mój gest powtarzałem czasem dwa lub trzy razy. Sytuacja stawała się nie do zniesienia. Wreszcie robotnicy domyślali się, że im się kłaniam. Zapanowywało ożywienie i powitanie. Robotnikom nie przychodziło do głowy, że wojewoda się im kłania w ich miejscu pracy”.

Jak widział ówczesnych robotników wojewoda łódzki?

„Uderzyły mnie twarze robotników i robotnic — twarze ludzi skazanych na schorzenia nieuniknione w warunkach fabrycznej pracy. Kolor skóry i wyraz oczu, ruchy i postacie ludzkie. Bywało lepiej i gorzej, ale na ogół cień tego „niezdrowia” panował wszędzie”.

Wizyty te przyniosły pewne skutki. Podjął akcję filantropijną. Zetknął się z bezrobociem i dla jego pomniejszenia rozpoczął akcję walenia murów wokół fabryk i zastępowania ich — zgodnie z okólnikiem premiera Felicjana Sławoja-Składkowskiego — niezwartymi płotami. Dawało to pracę bezrobotnym, ale spowodowało skawę przemysłowców łódzkich u premiera. Rozpoczął też szkolenie robotników na majstrów. Po ukończeniu takich kursów robotnicy zostawali majstrami. Fabrykanci honorowali ich nowe kwalifikacje. Podczas jubile-

uszowych uroczystości przemysłu łódzkiego Robert Geyer zaproponował zebraniom, aby dla poparcia inicjatywy wojewody łódzkiego organizowania urlopów dla robotników przekazać na ten cel 3 miliony złotych. Propozycję przyjęto.

Konflikty wszakże pojawiały się co jakiś czas. W „Widzewskiej Manufakturze” — jak sam stwierdza — „stary Uszer Kon manewrował z całym swym sprytem i doświadczeniem na niekorzyść widzewskich robotników”. Aby uniknąć otwartego konfliktu z robotnikami, trzeba było przejąć „Widzewską Manufakturę” pod zarząd państwa. Wtedy posypały się interwencje. „Nie będę ujawniał nazwisk — napisze po latach — korowodu dygnitarzy różnego typu, który w czasie tym przesunął się przez mój wojewódzki gabinet. Czasem rozmowy były najbardziej nieoczekiwane i bardzo pouczające”. Szkoda, że zabrakło o nich relacji. Byłyby to interesujące przyznanie do poznania specyfiki tamtego okresu. Uszer Kon podporządkował się decyzji Henryka Józewskiego i wyjechał z Polski. Dzięki temu uratował życie...

Założył pismo „Gromada”, w redagowaniu którego sam brał udział. Pismo — jak pisał — „miało powodzenie”. Podejmował inne inicjatywy zmierzające do pobudzenia działalności wiejskiego samorządu.

Jak to zwykle w życiu bywa, miał zwolenników i miał wrogów. „Moimi wrogami byli komuniści — przyznaje — endecy i „OZN. Na pomoc ich liczyć nie mogłem”. Doszło nawet do tego, że szef Obozu Zjednoczenia Narodowego — pułkownik Zygmunt Wenda stanął w pełnym umundurowaniu, z medalami do raportu u generała Felicjana Sławoja-Składkowskiego — premiera rządu RP i zażądał kategorycznie dymisji Henryka Józewskiego — wojewody łódzkiego, a w przeciwnym razie on złoży dymisję. „Urządowanie w Łodzi — konkluduje ostatni przedwojenny wojewoda łódzki — nie było łatwe, ale czułem się pewnie i dobrze”.

Wojna

Wybuchła 1 września 1939 roku. Pierwsze dni wojny Henryk Józewski spędził w Łodzi. Co wieczór odwiedzał na Julianowie sztab Armii Łódź, gdzie słuchał relacji gen. Juliusza Rómmla o walkach na froncie. „General tłumaczył mi z miną najbardziej autorytatywną, że Niemcy tylko markują” — pisał. Ale, gdy po zarządzonej ewakuacji Urzędu Wojewódzkiego pojechał na Julianów pożegnać się z generałem, zastał „pałac Helenowski nadwreżony, udekorowany ze wszystkich stron lejami bomb lotniczych i powyrzwanymi z korzeniami drzewami”. General Juliusz Rómmel opuścił był Łódź.

Zaczęła się wojenna wędrowka po Wołyniu i Polesiu. Ale to już zupełnie inna opowieść.

Czesne od 100 tys. do... 2 mln złotych!

Jak dotąd eksperyment bodaj najdalej rozwinął się we Wrocławiu: w Autorskiej Szkole Samorozwoju „ASSA”, mającej status społecznego liceum ogólnokształcącego, tradycyjne klasy zastąpione zostały przez „kółka”, grupujące uczniów w różnym wieku. Szkoła realizuje program gimnazjum państwowego, przy zachowaniu zasady, że zarówno nauczyciele jak i uczniowie mają pełną swobodę w wyborze treści i metod. Nikt nie zamierza tam wyrywać do tablicy, czy zaskakiwać „kartkówkami”, co oznacza rezygnację z filozofii egzekwowania wiedzy. Zamiast ocen wprowadza się zaliczenia i nie ma przeszkód, aby w ciągu roku zaliczyć na przykład program dwóch lat. Nietypowo rozpoczął się również rok szkolny: nie apelem i przemówieniami, a obozem adaptacyjnym.

Wrocławskie kuratorium szanuje samodzielność szkoły i nie przeszkadza. Jego nadzór ogranicza się do przesyłania programów nauczania. Wizytatorzy wkroczą dopiero po roku, aby ocenić efekt niekonwencjonalnego pomysłu.

Od obozu także rozpoczęli naukę gimnazjaliści Społecznego Liceum Harcerskiego w Koninie. Program jest podobny do państwowego, ale w wychowaniu i nauczaniu stosuje się metody harcerskie. Szkoła działa pod egidą Polskiej Organizacji Harcerskiej, przyjmując jednak również w swe mury członków ZHP. Jedni i drudzy zobowiązani są do przychodzenia w mundurach i przest. zegania prawni harcerskiego. Celem szkoły jest bowiem przygotowanie instruktorów zdolnych do prowadzenia drużyn harcerskich. Stąd w programie obowiązkowy przedmiot „zajęcia harcerskie”, na których uczniowie poznają historię i tradycję ruchu, topografię i „samarytanek” (udzielanie pierwszej pomocy).

Na wagary z chińskiego

Oryginalnie realizują program historii: lekcję o Jagiellonach przeprowadza się na Wawelu, o demonstracjach przed powstaniem styczniowym — w Warszawie.

Obowiązkową liczbę godzin ograniczono do minimum, rozbudowano natomiast program nauki języków obcych.

Każda z nowo powstałych szkół niepaństwowych wprowadza do programu innowacje. Szkoła podstawowa w Pionkach (woj. radomskie), działająca pod patronatem Społecznego Towarzystwa Oświatowego, połączyła plastykę, muzykę i zajęcia techniczne w jeden blok „rozwoju psychofizycznego”. Jak zapewnia dyr. Jarosław Buko, w jego szkole nauczyciele mają pełną swobodę w wyborze metod i technik nauczania.

W Społecznym Liceum Ogólnokształcącym w Piotrkowie Trybunalskim (jedyna niepaństwowa szkoła w województwie) dyr. Roman Grzybowski wyrzucił z programu przedmiot „Przysposobienie do życia w rodzinie”, a zamierza również zlikwidować przysposobienie obronne. — I tak po tym przedmiocie obrotami ojczyzny nie będą — argumentuje.

Najtrafniejsza decyzja dotyczy jednak historii. Najpierw uczeń poznaje historię średniowiecza, a potem literaturę tego okresu. Historia wyprzedza język polski we wszystkich epokach. Roman Grzybowski jest wprawdzie fizykiem, ale uważa, że wiedza historyczna pomaga zrozumieć inne przedmioty. Dlatego też uczeń, który wybrał fakultet humanistyczny, z lekcji fizyki winien zapamiętać nie istotę teorii względności Einsteina, co sam fakt przelotowości tego odkrycia.

W Prywatnym Liceum Ogólnokształcącym spółki „Impuls” w Płocku tradycyjne metody wykładu zastąpiono dyskusją. Anglista z kolei wprowadza metody bezstresowe, ograniczające system ocen. Zamiast wystawiania stopni opisuje w zeszycie, czy uczeń aktywny, czy leniwy. Oceny pojawiają się dopiero pod koniec roku. Dyrektor Tereza Kordiasz, która przez ostatnie 28 lat kierowała Zespołem Szkół Chemicznych zakłada, że jej nową szkołę powinni ukończyć wszyscy. Z tym tylko, że jeden na piątkę, drugi na trójkę.

Władze oświatowe są otwarte na wszelkie propozycje szkół niepaństwowych i wykazują w stosunku do nich wiele życzliwości.

Jedynym ograniczeniem, jakie stawiają przepisy wobec programu, jest konieczność zrealizowania minimum tego, co robi się w szkołach państwowych.

Szkoły prywatne i społeczne cieszą się sporym zainteresowaniem, starają się bowiem przedstawić atrakcyjne oferty. Jeśli wystarczająco duża grupa uczniów zażyczy sobie nauki chińskiego, a rodzice zgodzą się zapłacić — proszę bardzo, sprowadzimy sinologa. Nie mówiąc już o tak prozaicznych potrzebach, jak dostęp do pływalni, czy nauka jazdy konnej.

Kadrę nauczycielską najczęściej dobiera się najlepszą. Dyrektorzy to zazwyczaj pedagodzy z wieloletnim stażem i świetnie się orientują, kto w środowisku jest najlepszy. A skoro zatrudnia się fachowców, to również dobrze ich opłaca. W I Społecznym Liceum Ogólnokształcącym w Częstochowie najniższe wynagrodzenie za godzinę pracy nauczycielki tuż po studiach wynosi 15 tys. 900 złotych, najwyższe (30-letni staż tytuł doktora) — 22 tysiące.

Minimalne czesne, płacone co miesiąc przez ucznia, wynosi ponad 100 tys. zł (jak w żeńskim LO Zgromadzenia Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu w Kaliszu, gdzie wznowiono naukę po 28 latach przerwy). Maksymalne jest nieograniczone. W I Prywatnym Liceum Ogólnokształcącym w Warszawie osiągnęło 2 mln złotych! Ale w tej „szkole dla wybranych” wszystkie zajęcia odbywają się w języku angielskim, nauczycielami są głównie naukowcy z Politechniki i Uniwersytetu, a cykl nauczania zakończy matura międzynarodowa, dająca prawo wstępu bez egzaminu na każdą uczelnię świata, łącznie z Harvardem.

Eksperyment trwa.
BLAŻEJ TORAŃSKI

Dyrektor Muzeum Artystów przemówił z... drabiny

Sztuką się oddycha

Rozmowa z RYSZARDEM WĄSKO — twórcą idei „Konstrukcji w Procesie” i współorganizatorem tej imprezy.

— Jak zorganizować imprezę artystyczną, w której bierze udział stu twórców z całego świata — bez pieniędzy?

— Trzeba po prostu chcieć to zrobić. Przyjąć zasadę, że nie ma rzeczy niemożliwych. Należy na przykład wynajmować salę, przekonać ludzi, żeby oddali ją za darmo.

— I udawało się?

— Często. Zakłady „Dubois” i spółka „Akropol” jeden z obiektów udostępniły nam za darmo, tylko za reklamę.

— A jednak kultura musi mieć finansowe wsparcie.

— Niemcy zrobili swego czasu rzecz fantastyczną — po wojnie budowali gospodarkę równocześnie z kulturą, dlatego jest ona dziś tak silna. Są w Niemczech miasteczka, które mają po kilka muzeów, każde ma galerię. I nikt się temu nie sprzeciwia. Kiedy w ubiegłym roku nasze Stowarzyszenie „Konstrukcja w Procesie” zaczęło propagować ideę powstania w Łodzi drugiego muzeum — Muzeum Artystów, to się na nas poobrażali w Muzeum Sztuki, bo to byli monopolści. Nie chcieli zgodzić się na drugie muzeum sztuki w Łodzi. Dlaczego? Tu żyje milion ludzi! Berlin ma dwa miliony i jest tam trzydzieści muzeów. Nikomu to nie przeszkadza. U nas nie myśli się kategoriami two-

żenia czegoś nowego, tylko trzymania tego, co stare, swojej pozycji. A w sztuce, w kulturze wszystko polega na rodzeniu się wciąż czegoś nowego i trzeba to pielęgnować.

— Czy zatem polityka kulturalna jest potrzebna?

— Sztuki nie może robić polityk czy ekonomista. Robią ją artyści. Rolą polityki i ekonomisty jest umożliwienie istnienia sztuki, nie więcej. Nie można artystą sterować, brać za mordę, jak to czynili poprzednie ekipy i jak to się gdzieś tam teraz też próbuje robić. Podczas „Konstrukcji w Procesie” odczuliśmy to na własnej skórze. Wszyscy zdawali sobie sprawę z wagi tej imprezy, z tego, co chcieliśmy tu zrobić. Potrzebne nam było pismo Ministerstwa Kultury i Sztuki, nawet nie pieniądze, tylko poparcie, niezbędne, aby znaleźć sponsorów, którzy zadaliby od nas papierka, na którym byłoby napisane, że ministerstwo popiera imprezę pod tytułem „Konstrukcja w Procesie”. Chodziliśmy przez kilka miesięcy i stukaliśmy w drzwi ministerstwa i nawet teatrem obrazu, światła, ruchu, barwy, kształtu i dźwięku „Bilder — Bühne — Bauhaus” i nie mniej świetnym „Materialtheater” z „Korowodem występów” wg Francois Villona. Chyba nie było to ostatnie spotkanie z kulturą i sztuką nowo zaprzyjaźnionego miasta.

Łódź na fali

MAREK KOPROWSKI

Rozkołysała się nam Łódź artystycznie i kulturalnie jak nigdy dotąd. W ciągu ostatniego miesiąca natłok ciekawych i znaczących imprez najodporniejszego i najwierniejszego odbiorcę mógł przyprawić o migotanie ośrodków percepcji. Dni Muzyki Oratoryjnej i Organowej z Wielką Mszą h-moll J. S. Bacha ścignęły do kościoła św. Mateusza rzadko oglądane tłumy słuchaczy. Teatr im. Stanisławskiego z Moskwy z „Krzestami” Ionesco, zaproszony przez Teatr 77, to niekwestionowane wydarzenie teatralne. „Ośrodek Ruchu Europejskiego — Teatr 77” i „Divadlo Husa na provazku” z Brna zorganizowały akcję symbolicznego odszczurzenia miasta z wszelkiego zła. Przejazd gigantycznej arki wysokości dwóch pięter i aktorski przemarsz około 200 artystów — to zaiste niezapomniany widok. Jeśli impreza potrafi przyciągnąć ponad 50 tys. widzów, a nie jest meczem piłkarskim, to impreza taka jest godna uwagi. A i ci, którzy przyszli ją obejrzeć, również są godni uwagi. Była to w przybliżeniu większość młodzieży (dotyczy to również imprez wymienionych wyżej i tych, o których za chwilę), która

bardzo aktywnie, rozumiejąc co robi, przyłączyła się do akcji.

Kolejną imprezą były Dni Stuttgartu w Łodzi, z kilkoma mocnymi punktami: poszukującymi nowych wartości w muzyce artystami z zespołu „Ralf Illenberger's Circle”, rewelacyjnym teatrem obrazu, światła, ruchu, barwy, kształtu i dźwięku „Bilder — Bühne — Bauhaus” i nie mniej świetnym „Materialtheater” z „Korowodem występów” wg Francois Villona. Chyba nie było to ostatnie spotkanie z kulturą i sztuką nowo zaprzyjaźnionego miasta.

Dalej: I Festiwal Mediów pod hasłem „Człowiek w zagrożeniu”, na który przyjechał m. in. Ryszard Kapuściński, przysłano wiele bardzo dobrych filmów, audycji radiowych, przyjechali goście zagraniczni, by — każdy w swoim języku (chodzi o język artystyczny) — dyskutować o problemach zawartych w tytule Festiwalu, a istotnych dla mieszkańców naszego globu.

Wreszcie, impreza najważniejsza, najdłuższa trwająca, bo miesiąc, przynosząca największy splendor miastu: „Konstrukcja w Procesie”, największe na świecie spotkanie awangardy artystycznej. Jest to trzecia edycja tej

jewoda Bohdanowicz objął nad nami patronat. I wszyscy na tym wygrali, bo Łódź w ciągu jednego tygodnia stała się centrum sztuki światowej.

— Na wystawach, w galeriach i muzeach nie ma dziś tłoku. Czy to znaczy, że ludzie nie potrzebują sztuki, czy może prezentowana tam sztuka nie jest dla nich?

— W Polsce jest inaczej niż na Zachodzie, gdzie dzięki pieniądзом, rynkowi, informacji wykształciła się szeroka grupa koneserów, do której należą bardzo różni ludzie, nie tylko tzw. elita. U nas ludzie gonią za kielbasą i pieniędzmi, bo są biedni, mają inne problemy. Niemniej w 1981 roku, kiedy robiliśmy w hali fabrycznej pierwszą „Konstrukcję w Procesie” pokazaliśmy sztukę lat 70, która wtedy nie istniała w niczyich głowach. A przecież na wernisaż przyszedł tysiąc ludzi. Robotnicy sami zgłaszali się, aby nam pomagać, byli wartownikami, robili wszystko. Ci ludzie, nie związani ze sztuką, czuli wtedy, że nie tylko nie na tym nie tracą, ale zyskują. Teraz jest tak samo.

— Co jest w „Konstrukcji w Procesie”, że tak bardzo przyciąga ludzi?

— Trzeba mieć świadomość czasu. Są momenty, kiedy trzeba się zamknąć w czterech ścianach muzeum, żeby inni się dobijali. Ale jest taki czas, kiedy trzeba wyjść ze swojej świątyni na zewnątrz w życie, aby ich do sztuki przyciągnąć. Tego nie zrobił się siedząc w muzeum i nawołując: przyjdźcie, bo jest akurat wystawa!

Poszliśmy na ulicę, do instytu-

cji, spółek, do robotników, przekonując ich do wartości tego, co robimy. Poszliśmy do MPK, gdzie w 1981 r. odbyła się pierwsza „Konstrukcja”, bo chcieliśmy symbolicznie wrócić do tego miejsca, które zostało nam odebrane w stanie wojennym. I teraz jest tam piękna ściana, wall-drawing Sol Levitta. Artysty potrzebowali przeciąć rurę, więc szło się do MPK i tam natychmiast to robili, za darmo. Każdemu człowiekowi potrzebny jest duch, który sztuką wytwarza, każdy chce być aktywny, kreatywny.

— Jakiej sztuki zatem teraz ludzie potrzebują?

— Takiej, która pobudza życie. Być może za dwadzieścia lat przyjdzie znowu czas muzeów. Dlatego nasze Muzeum Artystów jest prowizoryczne, zmienia się w zależności od czasu, od potrzeby. Mamy budynek, ale nie musimy go mieć. Trzeba będzie, to coś w nim zrobimy, a innym razem wyjdziemy poza Łódź. To artysta musi wyczuwać intuicyjnie, w którym momencie co należy uczynić, żeby jego sztuka żyła.



ne, by nie dopuścić do konfliktów. Mieszkańcy naszego miasta, nie przyzwyczajeni do takich demonstracji artystycznych, często byli zbulwersowani, a niektóre sytuacje wzbudzały ich gwałtowny sprzeciw. Gdy jeden z artystów chciał przyodbić po swoim części fasady kamienicy przy ul. Wschodniej, komitet domowy zagroził, że wezwie policję. Konflikt zażegnano. Komuś tam zabrakło śrubek, innemu artyście skradziono część rekwizytów, była kłótnia o wyłączność pracy w tym samym obiekcie.

To był największy skandal tegorocznej „Konstrukcji”. Oppenheim i Rabinowitch pracowali w Muzeum Historii m. Łodzi w pałacu Poznańskich. Rabinowitch nie chciał się pogodzić z obecnością, było nie było, kolegi i rodaka w swoim sąsiedztwie. Po uroczystym odsłonięciu własnych płaskorzeźb, późnym wieczorem, wpadł do Muzeum prawie taranując strażniczkę i mimo prób interwencji, potłukł rzeźby Oppenheima. Liczna grupa amerykańskich artystów, oburzonych postępkami swojego rodaka, zmusiła go do opuszczenia Polski w trybie natych-

— Co się udało osiągnąć dzięki „Konstrukcji w Procesie”?

— Wszystko! I biznes — przyjechali tu biznesmeni, którzy porobili interesy na sztuce. I politycznie Łódź wygrała, bo na przykład udało się w ciągu paru dni obalić pogląd, że Łódź jest centrum antysemityzmu w Polsce. Przyjechało tu wielu artystów z Izraela, którzy świetnie się u nas czuli. Przyłączyli się do nas ludzie, dotąd w sztuce nie istniejący, przyłączyło się mnóstwo instytucji — proszę spojrzeć na listę sponsorów.

— A co się nie udało? Nie ukrywam, że mam na myśli incydent między Davidem Rabinowitchem i Dennisem Oppenheimem, któremu ten pierwszy zniszczył pracę...

— Ten incydent jest nauczką, mówi o czymś, co może spotkać społeczeństwo polskie. Na Zachodzie, szczególnie w Ameryce, żeby być kimś, trzeba być silnym, trzeba być egoistą. Artystę kreuje rynek tak, że musi on walczyć o swoje prawa nie dopuszczając innych wartości, bo inaczej przegra. W tę samą stronę dąży nasza gospodarka i społeczeństwo i to jest właśnie niebezpieczne.

— Nie da się zaprzeczyć, że wiele dzieł pokazanych w ramach „Konstrukcji w Procesie” było cokolwiek kontrowersyjnych. Gdzie przebiega granica między sztuką i eksperymentem?

— Sztuka istnieje wtedy, gdy jest w pewnym sensie anarchistyczna, gdy podkopuje schematy, pobudza. Nie będzie niczego pobudzać, gdy da widzowi do oglądania to, co on chce oglądać.

miastowym, a poszkodowany wniosł sprawę do sądu, obiecując, iż zadośćuczynienie finansowe przekaże na rzecz Muzeum Artystów w Łodzi. Postanowiono spontanicznie, że potłuczone rzeźby znajdą się w kolekcji tegorocznej „Konstrukcji”, zaś praca Rabinowitcha nie zostanie do niej dopisana.

Otwarcia Muzeum Artystów dokonał przemawiając z drobiną jego pierwszy dyrektor-prezydent, wybitny artysta amerykański, Emmett Williams (a później pito szampana prosto z butelek). Muzeum jest kolejną unikatową w skali światowej inicjatywą organizatorów wystawy i Stowarzyszenia „Konstrukcja w Procesie”. Międzynarodowa Prowizoryczna Wspólnota Artystyczna — Łódź, to dalszy człon jego nazwy i — niejako — najkrótszy program. Tu będą przyjeżdżać artyści z całego świata, by na miejscu realizować dzieła specjalnie dla Muzeum. Oznacza to — twierdzą pomysłodawcy — że fakt bezpośredniego kontaktu artysty z żywą sytuacją społeczną oraz z konkretnym miejscem na mapie Europy jest ważniejszy niż fakt magazynowania kosztownych przedmiotów rynku sztuki. Ma to być muzeum „bez ścian”, które w swym działaniu przekształcać ma tradycyjny sens muzeum sztuki. Są bardzo śmiałe i rozległe plany i pomysły na sposób działalności Muzeum, ale pisać o nich będziemy w miarę realizacji. Tradycja „Konstrukcji” jest przekazywa-

Sztuka nie ma granicy i ze swej istoty zawsze jest prowokacją. Nie ma kryteriów. To tak, jakby pani pytała, czy istnieją np. granice wolności danej przez Boga. Nie ma! Bóg tworzył człowieka będąc wolnym i dał mu tym samym wolność i teraz on musi decydować o tym, co jest wolnością. Artysta, poprzez talent, który dostał od Boga i poprzez dyskusję z samym sobą, decyduje co mu wolno, a czego nie. Sztuka nie trzeba rozumieć. Ona istnieje w powietrzu, nie da się jej złamać, opisać, zmanipulować. Sztuką się oddycha, bo ona emanuje.

— Istnieje pogląd, że wszystko, co czyni artysta, jest sztuką. Podczas „Konstrukcji w Procesie” było nią na przykład to, że dwóch uczestników imprezy przez pewien czas opiekowało się kwiatami.

— To zależy od artysty. Od jego pokory. Dwie sprawy decydują o sztuce — przeszłość i to, że należy się od niej odbić, aby obudzić ducha, obudzić życie. Element kreacji istnieje w każdym człowieku, ale artysta ma świadomość tego, co ma do zrobienia, czym dysponuje i z czego musi zrobić użytek. To jest sprawa jego odpowiedzialności wobec życia. To wszystko jest weryfikowane przez życie, przez historię. Rzeczy, które są nieprawdziwe, utoną.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:
**DANUTA
ŚMIERZCHALSKA**

imprezy, po łódzkiej z 1981 r. i monachijskiej z 1985 r. Inicjatorem i organizatorem wszystkich trzech imprez jest Ryszard Waśko (oczywiście wraz z gronem współpracowników), komisarz „Konstrukcji” tegorocznej. Zaprosił on do udziału w wystawie 40 artystów z całego świata, a każdy z nich zaprosił jeszcze jednego artystę. Razem 80. Zasada wystawy, zupełnie unikatowa w świecie jest, że artyści przyjeżdżają do Łodzi z ideami, pomysłami na dzieło. I dopiero tu, na miejscu, w ciągu ośmiu dni roboczych te pomysły realizują. W różnych punktach miasta, w plenerze i we wnętrzach, w kotłowniach, na strychach, w halach fabrycznych i salach muzealnych, na oczach publiczności powstawały bardzo różne dzieła sztuki. Na tym właśnie polega idea wystawy: obserwowanie procesu powstawania, właśnie konstrukcji dzieła sztuki. A zakres działań artystycznych był szeroki: instalacja, interwencja, performance, akcje, wideo, dźwięk, film, mixed-media, malarstwo, rzeźba, poezja, itd. Artysty zjawili się w komplecie, a wśród nich tak wybitni twórcy: Emmett Williams, Dennis Oppenheim, Sol Lewitt, Dawid Rabinowitch, Taka Imura, Peter Downsbrough — wszystkich wymienić nie sposób. Wszyscy odczuli się do pracy i tu zaczęły się mniejsze i większe kłopoty. Organizatorzy często musieli wykazywać spryt, zdolności dyplomatyczne i medycy-

nie wszystkich dzieł wykonywanych w czasie trwania imprezy, w darze miejscowemu społeczeństwu. Tak było w Łodzi dziełach lat temu i w Monachium w 1985 r. Kolekcja z 1981 r. i tegoroczna stały się podstawą stałej kolekcji Muzeum Artystów.

Osobne miejsce należy się Ryszardowi Waśko. Sam znany artysta, przez wiele lat związany z Łodzią, absolwent PWSFTviT, dziś mieszkający na Zachodzie, objechał pół świata, by pozyskać sponsorów (czytaj: fundusze) na „Konstrukcję”, przekonać różnych ważnych ludzi do pomysłu łódzkiej artystów. Udało mu się to znakomicie. Uroczystego otwarcia wystawy dokonał, zapalony do jej idei przez Waśkę, minister spraw zagranicznych Włoch Gianni de Michelis. Bankiet otwarcia wydał w salach pałacu Poznańskich prezes międzynarodowej korporacji stalowej Jerome A. Siegel. Waśko odwiedził artystów, przemysłowców, biznesmenów, bankierów, milionerów, dyplomatów; przyjmowany był obiadamami przez elitę finansową Stanów Zjednoczonych, galerzystów, kolekcjonerów dzieł sztuki, odbył okoliczności spotkań dla „Konstrukcji”. Koledzy w Polsce też nie próbowali, a wiódł ich do celu Wojciech Bruszewski, który odrobił kawał organizacyjnej roboty. Dzięki grupie upartych niemożliwe stało się możliwe.

Migawki z włoskiego kurortu

MONIKA MATUSZAK

W połowie sierpnia, gdy nad polskim Bałtykiem kanikuła zbliżała się ku końcowi, we Włoszech świętowano przypadający wtedy środek sezonu wakacyjnego. W Lido di Jesolo, nadmorskiej miejscowości niedaleko Wenecji, 15 sierpnia już od rana z tej okazji trwało na plaży coś, co bardzo przypominało nasz swojski śmigus-dyngus. Różnica polegała jedynie na tym, że nad Adriatykiem w środku lata panują wielkie upały, kąpielówki szybko wysychają, nikomu nie grozi zapalenie płuca, a zimny prysznic w południe jest rzeczą niezwykle pożądaną.

Wśród wrzasków i śmiechów polewano się z torebek foliowych, wiader, pistoletów i wszystkiego, co dało się wodą napęcznieć. Plaża nasiąkała setkami litrów wylewanych na znajomych i obcych, i tylko starsze pokolenie niewzruszenie kontynuowało grę w kulki, cyrklem odmierzając zwycięstwo.

Wieczorny pokaz sztucznych ogni zgromadził na plaży tłumy turystów. Po jego zakończeniu włoski dyngus przeniósł się na ulice miasteczka. Na hotelowych balkonach czaili się holdujący mokrej tradycji Włosi i z widoczną przyjemnością bombardowali przechodniów zakupionymi w supermarketach specjalnie na ten cel kolorowymi balonkami wypełnionymi wodą.

W Lido di Jesolo sezon hotelowy zaczyna się w końcu maja i trwa do połowy września. W tym czasie właściciele ponad 400 hoteli i pensjonatów oraz sklepikarzy i restauratorów zarabiają pieniądze, które muszą im wystarczyć na dalszą część roku, kiedy Jesolo wymiera. Hotele dają sezonowe zatrudnienie tysiącom ludzi, w tym także Polakom. Ich spojrzenie na ten modny kurort nieco różni się od zachwytów turystów używających słonecznika, wody i urlopowych rozrywek.

Janusz: „Właściciele hoteli starają się w ciągu 4 miesięcy zarobić jak najwięcej jak najmniejszym kosztem. Gdzie tylko się da oszczędzają. Hotele nie są już nowe i wymagają remontów. Co roku wiosną zamalowuje się tylko brudy, a grzyb zakleja tapetę. Tam gdzie są goście, musi być „na błysk”, a reszta...”

Krzysiek, student z Wrocławia: „Sytuacja jest u nas w kraju tak niepewna, że zdecydowałem się wziąć na uczelni urlop dziekański i trochę zarobić, żeby potem mieć od czego zacząć. Pracy szukałem jeszcze w kwietniu, kiedy dopiero kompletowano personel do hoteli. Obszedłem wiele miejsc, zanim tu trafiłem. Pomogła mi znajoma Włoszka. Szef mnie przyjął, ponieważ mówię po niemiecku. Znajomość włoskiego okazała się zbyt cenna. Zgodziłem się na jego wszystkie warunki. Pracuję najciężiej ze wszystkich, a i tak zarabiam mniej niż reszta. Posiadający zezwolenie na pracę mogą grymasić, ja nie, bo znaleźć pracę na czarno nie jest łatwo.”

Mówi Giuseppe, sporadycznie odwiedzający Jesolo: „W ostatnich latach Jesolo stało się bardzo modne, właściciele hoteli i sklepów niezwykle wyśrubowali ceny. Niekontrolowana galopada cen doprowadziła do tego, że coraz mniej ludzi mogło pozwolić sobie na przyjazd tutaj. Podobnie działo się w innych miejscach. W tym roku w Wenecji obniżono ceny o 2 proc., we Florencji o 12 proc., a w Jesolo aż o 25 proc. w stosunku do ubiegłego sezonu. W Rimini zamknięto 80 pensjonatów. Ludzie z branży turystycznej nie bardzo wiedzą jak polepszyć tę sytuację. Taniej jest w Hiszpanii, Grecji, Turcji, czy choćby na Sycylii, gdzie jest czystsze morze i dużo mniej ludzi.”

Dorota z Warszawy: „Ostatnie wakacje wykorzystuję, żeby trochę zarobić. Schowałam do kieszeni dyplom, zapomniałam o dumie i myję podłogi, szoruję garnki, sprzątam

pokoje. Mam najbrudniejszą i najgorzej opłacaną robotę, ponieważ nie jestem ani Włoszką, ani Austriaczką i pracuję na czarno. Co trochę strasza mnie policja, wyrzuceniem, szantażują, że w innych hotelach personel nie ma tak dobrze jak tu. Nie mogę nawet się skrzywić, a co dopiero próbować dyskutować. Szef zawsze ma rację. To trudna lekcja pokory. Nie powinnam rzucać się gościom w oczy, siedzieć w hotelowym barze i nadmiernie kręcić w okolicy recepcji. Muszę być uczesana, uśmiechnięta, wyspana, ubrana w czysty fartuch i oczywiście punktualna.”

Ewa: „W moim hotelu jest za mało personelu, ponieważ właściciel jest skąpy i w ten sposób oszczędza. Nikt nie ma wolnego dnia, wszyscy robią wszystko — pośpiech i balagan. Pracuję 10–11 godzin przez 7 dni w tygodniu. Nigdy nie sądziłam, że praca pokojówki jest taka ciężka, nie tak łatwo uporać się z 15 pokojami w 3 godziny. Z hotelu jest bardzo blisko na plażę, ale kiedy mam po obiedzie wolny czas, nawet nie chce mi się zejść na dół. Kładę się i śpię. Potrzebuję lekarstwa, ale kiedy apteka jest otwarta, ja akurat pracuję.”

Jesolo i Wenecja przeżywają najazd turystów z krajów do niedawna socjalistycznych. W prasie pojawiają się tytuły w rodzaju „DDR szturmuje Italię”. Niemcy, Czesi, Węgrzy, Rosjanie, a także powoli Bułgarzy i Rumuni zaczynają ciekawie rozglądać się po świecie. Nie stają ich na hotele, śpią w autokarach, na parkingach, trawnikach i moście, jedzą suchy prowiant popijając wodą z kranu i liżąc każdego dolara. Śmieją i nie dają Włochom zarobić, więc nie są witani z otwartymi ramionami.

Piotr, łódzianin: „Do moich obowiązków należy m.in. pilnowanie plaży. Płacę mi za to, żeby nikt obcy nie kręcił się tu i nie zajmował leżaków przeznaczonych dla hotelowych gości. Muszę wyganiać „socjalistycznych”. Żal mi ich, bo są zmęczeni, szarzy, jechali taki kawał, żeby zobaczyć morze. Sam mógłbym się znaleźć na ich miejscu, ale jeśli ich nie wyprowadzę, mnie mogą wyprosić z pracy. Tu nie ma sentymentów”.

Wojtek ze Szczecina: „W trakcie sezonu przybyło mi wiele obowiązków, o których na początku w ogóle nie było mowy. Każda próba dyskusji kończy się groźbą: „nie podobasz się? jutro do domu”. Tuż po sobie uszy i wracam do swoich zajęć, bo mi niestety cholernie zależy na tej pracy.”

Poza Polakami poszukują też zajęć Marokańczycy, którzy stanowią dla naszych rodaków poważną konkurencję, gdyż zgadzają się na takie wynagrodzenie, o jakim Polak nawet nie chce słyszeć. Inny sposób na życie mają Murzyni. Zajmują się czymś w rodzaju handlu okrężnego. W najgorszy skwar krążą po plaży zachęcając opalających się do kupna tandetnych zegarków, kaset magnetofonowych, ubrań i pamiątek.

Plaża w Jesolo nie ma w sobie nic z romantyki nadmorskiego pejzażu. Jak okiem sięgnąć wszędzie stoją hotele i pensjonaty, a każdy ma swój własny kawałek plaży, na którym stoją równie jeden przy drugim ustawione w rząd parasole i leżaki. W słoneczne dni plaża przypomina ogromną beczkę ze słoczonymi w nieprawdopodobny sposób śledziami. Podobny tłok panuje w morzu (kąpiący się, łódki, żagłówki, pontony, materace, rowery wodne, motorówki) i w powietrzu (wojskowe odrzutowce robiące podobny hałas jak te nad Bałtykiem, helikoptery, awionetki, samoloty ciągnące za sobą reklamy piwa).

Włosi twierdzą, że morze jest brudne, ponieważ upał bardzo sprzyja rozwojowi glonów, które w wysokiej temperaturze gniją i wydzielają dość uciążliwy dla otoczenia

zapach. Ciekawe jak oceniliby wody Bałtyku, skoro na niewinne algi tak kręć nosami?

Wszędzie kłębi się różnorodny tłum turystów. Tylko w ekskluzywnych sklepach jest pusto. Luksusowe wystawy cieszą oko, ale niezwykle wyśrubowane ceny (jak kurort to kurort) odstrasza. Między bankiem a salonem z drogimi futrami siedzi na krześle żebrająca młodzieżka kobieta z małym dzieckiem na rękach, przed nią miseczka z kilkoma zaledwie drobnymi monetami.

Do Jesolo przyjeżdża się, żeby bawić się, a nie martwić problemami tego świata. A rozrywek nie brakuje. Bary, kawiarnie, restauracje, winiarnie, pizzerie nie narzekają na brak klientów. Do ulicznych karykaturzystów ustawiają się kolejki chcących mieć pamiątkowy portret z wyolbrzymionymi i pobrzydzonymi cechami charakterystycznymi. Dla zwolenników mocnych wrażeń długo w noc czynny jest lunapark. Efektowne Murzynki o figurach gazeli rozdają zaproszenia na dyskotekę „jednoręcy bandyci” wabią hazardzistów, młody człowiek z gitarą trafnie naśladuje muzykę Pink Floyd.

Co kilka dni odbywa się parada orkiestry, wyścig kolarski lub starych samochodów. Każdego roku kolorowy korowód oznajmia zakończenie winobrania i zaprasza na degustację słodkich gron i win. W połowie września organizowany jest wyścig superszybkich łodzi motorowych zwanych nie bez przyczyny „morskimi ferrari”, który poprzedza pokaz tych kosmicznie drogiej i śmiertelnie niebezpiecznych pojazdów. Na zwycięzcę czeka miliony lirów.

Trudno uwierzyć, aby to ciasne, zgiełkowe i zatłoczone miejsce zapewniało ludziom wypocinek, a jednak przybywają tłumnie gnioł się na plaży, przepychają na ulicach godzinami poszukując miejsc do parkowania i ochoczo wydają całoroczne oszczędności. Czy to kwestia mody, snobizmu, przyzwyczajenia, czy też osobliwy, nieco masochistyczny — ale jednak — sposób spędzania wakacji?

A nasi gastarbeiterzy? Przeszli niełatwą lekcję życia, ich narzekania na pewno są uzasadnione, ale powrót do domu i rekompensata finansowa powinny zatrzeć wszystkie niemile wspomnienia. W niedalekiej przyszłości nie będą też zaskoczeni, gdy i do nas zawita prawdziwie kapitalistyczny rynek pracy i nie znający sentymentów szefowie.

SKŁAD TARCICY PHUP „MAXBUD”

tel. 14-12-65

telex 885551 maxbf

Starowa Góra ul. Okienna 8

boczna od ul. Zagłoby, na granicy Łodzi i Starowej Góry (dojazd ul. Rzgowską autobusami: 70, C, 268 i 268 bis, przystanek za Szpitalem Matki Polki — do składu po przeciwnej stronie ul. Rzgowskiej ok. 500 m)

- * drewno na krycie dachów (deski, krawędziaki, murlaty itp.)
- * deski szalunkowe
- * deski podłogowe i legary
- * drewno powietrzno-suche do przerobu w stolarniach
- * załadunek bezpłatnie
- * dysponujemy własnym transportem

z a p r a s z a m y
od 7 do 17, a

we wszystkie soboty od 7 do 13.

Ja to mam szczęście: nie tylko mieszkam w centrum, nie tylko (mimo centrum) do parku Stawieckiego aby Podręczną przeskoczyć i już w nostalgicznym szeleście jesiennych liści, ale jeszcze i na Rynek Bałucki dwa kroczki! A dziś mieszkać w pobliżu rynku to jakby wygrać los na loterii! Wszystkie moje znajome, które nie posiadały takiego szczęścia w lokalizacji, wdychają z nieukrywaną zawiścią: Ty masz dobrze, w czepku urodzonaś. Nawet po chleb możesz wyskoczyć na rynek.

No pewno, że mogę. I skaczę. PSS straciła we mnie klienta, w PSS kupuję jednak jedynie mleko. Śmierć frajerom, dlaczego mam kupować drożej, skoro na rynku mogę taniej?

Nareszcie, Anno-Mario, widać zmiany na lepsze, cud gospodarczy blisko — oznajmia spotkana na schodach sąsiadka.

Rozglądam się wokół: gdzie ten cud? W jej siatach jakoś go nie widzę. Trudno za

Więc nawet nasz polski cud gospodarczy w takim wypadku nie zrównoważy rodzinnego budżetu.

Lecz wszystko względny jest. Tym bardziej pojęcie szczęścia. Nie wspominając już o cudzie. Gospodarczym. Z ostatnich badań gusowskich wynika, że spożycie ciągle spada, nie tylko bananów, mięsa także. Za to chleba i kartofli jemy znacznie więcej. To już jest coś. Może to ten cud właśnie?

Kiedyś — w czasach naszych mniej lub bardziej szlachetnych antenatów — ani Rynek Bałucki, ani cud gospodarczy, ani reforma Balcerowicza nie istniały, a ludzie żyli i nie wszyscy utrzymywali się z majątków (czy afer typu alkoholowa), polska inteligencja, tak jak i dzisiaj, utrzymywała swoje rodziny z pensji. Podobno nawet przy niezwykle skromnym rocznym budżecie — a za taki uważało się dochód w wysokości 2 tys. rubli — dało się wyżywić rodzinę i... służbę. Wystarczyło zastosować trzy zasady (powtarzam za Ambrozym Grabowskim):

1. Miarkować wydatki do dochodów.
2. Nikomu nigdy nie pożyczać pieniędzy ani nie borygać.
3. Nigdy nie pragnąć tego, czego posiadać nie można.

Ze „służby” dziś rezygnujemy, i od razu mamy oszczędność w budżecie. Wydatki „miarkujemy” dokładnie do naszych dochodów, „miarkujemy” co do tysiączka, i też nie zawsze starcza, żeby dogonić nowe z tygodnia na tydzień ceny. O „pożyczaniu” czy „borgowaniu” nawet mowy nie ma! A ktoś to pożyczyci mojej młodej znajomej lub „zborguje”, skoro wiadomo, że ona nauczycielka, a nie właścicielka butiku? A tę ostatnią, trzecią zasadę ekonomiki rodzinnej Grabowskiego wprowadzamy w praktykę maksymalnie: nie pragnąć niczego, bo żadnych już pragnień poza zapelnieniem gara nie posiadamy.

Więc po przeczytaniu w prasie o tej blokadzie czym prędzej pognałam na rynek. Lecz od wczoraj i tam, niestety, ceny podskoczyły, nawet edamski droższy, nie mówiąc o kostce masła. To biegam od straganu do straganu, poszukując takiego, przy którym mogłabym wykupić swoją osobistą porcję optymizmu. O! widzę nareszcie: tam, koło tamtej nyski kotłuj się tłum, koleżka jak cholera! Tam po optymizm! O! ludzie, ludzie, prawdziwe szczęście: sprzedają tutaj kartofle o pięćdziesiąt złotych taniej niż na innych nyskach i żukach!

Nabyłam całe dziesięć kilo. Bez kalkulatora obliczam, że zaoszczędziłam (a jednak!), aż pięćset złotych i od razu na duszy człowiekowi lżej, i w przyszłość spoglądam z nadzieją.

Wracam Zgierską. Przede mną kobieta niesie dwie wyładowane torby. Plecy wygięte, głowa w ramionach. Dochodzi mnie jej głos, którym powtarza monotennie, raz za razem niczym zaklęcie: „Nie jestem zmęczona. Nie jestem zmęczona. Nie jestem zmęczona.”

Mijający ją przechodnie oglądają się. A ona ciągle, że nie jest zmęczona. I nagle skręca z chodnika wprost na jezdnię. Krzyk ludzi. Mój też. Ohydny pisk hamulców. Z wozu wyskakuje przerażony kierowca. A te kartofle... toczą się... toczą po jezdni, toczą...

Potem wyje sygnał karetki. A ja wracam do domu na miękkich nogach.

Nazajutrz czytam w „Dzienniku Łódzkim” że „wczoraj przechodząca ul. Zgierską kobieta z niewiadomych przyczyn zesłała gwałtownie na jezdnię wprost pod nadjeżdżający samochód. Z ciężkimi obrażeniami została odwieziona do Szpitala im. Biegańskiego”.

ANNA-MARIA

Rok Świni

1990 ma dużą szansę przejść do naszej historii pod nazwą Roku Świni. Począwszy od stycznia zwierzątko to dokonało bowiem takich przemian gospodarczych, społecznych i politycznych, przy których zbladła reszta programu wicepremiera Balcerowicza. Do niektórych tylko zasług położonych przez świnie w tym krótkim okresie należy likwidacja kolejek, odrodzenie handlu, upadek nomenklatury mięsnej i wędlinarskiej, czy choćby ostateczne rozwiązanie problemu drobnych gospodarstw chłopskich przez puszczanie ich właścicieli z torbami (pustymi).

W 1990 roku wielka biała polska i biała polska zwisłoucha wzięły na siebie ciężar ekonomicznej edukacji narodu i wywiązały się z tego zadania znacznie lepiej niż trzy pokolenia wykładowców przedmiotu o kryptonimie „ekonomia polityczna socjalizmu”. To właśnie dzięki parzystoracicznej, a nie red. Bronikowskiemu z magazynu gospodarczego „Teraz”, obywatel szybko pojął, co to takiego wolny rynek, konkurencja, stopa zysku i przedsiębiorczość. Omawiany proces przyspieszonego kształcenia miał tę dodatkową zaletę, że odbywał się głównie na świeżym powietrzu, gdyż ładniejszy, smakowitszy, a zwłaszcza tańszy fragment świnki, przedziw można było dopaść na ulicy niż w sklepie.

Już w styczniu, występując w roli srogiego pedagoga, świnia wolnorynkowa dała tzw. handlowi uspołecznionemu bolesną lekcję handlu prawdziwego, który z grubsza polega na tym, żeby sprzedać cały towar klientom — co wyraźnie zdumiało na przykład pracowników „Społem”. Ponieważ uczeń okazał się wybitnym matolem, starzejąca się, lecz ciągle za droga świnia, wnet zdymisjonowała paru upartych dyrektorów i prezesów, którzy nie chcieli obniżyć marży. Osobnicy ci do dziś nie polapali się, dlaczego wredny obywatel śmie gardzić ich masą mięsną, która wygląda i pachnie jak padlina, za to kosztuje jak bażant po królewsku.

Po załatwieniu spraw personalnych, świnia dobrała się do cen. Już w lutym i marcu udowodniła praktycznie, że nie zawsze ceny muszą rosnąć, lecz potrafią również spadać — czego nie umiała dokonać żadna z ekip rządzących krajem przez ponad 45 lat. Tu jednak świnia posunęła się stanowczo za daleko. O ile bowiem obniżając ceny dała mieszczuchom powody do radości, o tyle pograżyła w bledzie swego jedynego żywiciela, czyli rolnika.

Zasiłki bohaterki roku są także głębokie zmiany w obyczajach. Dotychczas jedynym zajęciem świni w PRL było ukrywanie się przed tropicielami kułaków, pisaniem rolnym lub komisarzem wojskowym. Życie w PRL polegało zaś na tym, by możliwie szybko wytropić żywego jeszcze tucznika, zaszlachtować go i podzielić między swoich — zanim to samo zrobi kto inny. Obecnie troską świni jest podlizywanie się każdemu, kto poza apetytem ma jeszcze parę groszy przy duszy. Ponieważ osobników takich stale ubywa, świnia trudni się teraz podrózkowaniem po kraju w celach poszukiwawczych, nazywanych zbytem. Jak donoszą korespondenci terenowi, brzuch zwisłouchy rzeszowskiej widziano ostatnio w Koszalinie, a nogi poznańskiej — w Krapkowicach.

Jeśli chodzi natomiast o zmiany obyczajów wśród niedawnych konsumentów wieprzowiny, to różnice, w porównaniu z rokiem ubiegłym, są wprost wstrząsające. Obecnie codziennym zajęciem statystycznego obywatela jest oglądanie świni kawałkowanej lub wysoko przetworzonej, któremu towarzyszy daremne przetykanie słiny. Według szacunków bazarowych, w październiku, na każde wystawione do sprzedaży źebro przypadało średnio 8 widzów kibicujących jednemu szczęśliwemu nabywcy.

ROMAN KUBIAK

Przepis na porcję szczęścia

cud gospodarczy uznać główkę kapusty, parę kilogramów ziemniaków i platy mięsa, które kolorem i zapachem wskazują na kornie.

— Nie rozumie pani? — dyszy sąsiadka, — mówię o naszym Bałuckim Ryнку! Jak się ma taki rynek, to i supermarket niepotrzebny. Takie rynki... wszędzie! wszędzie! w całym kraju i już ludziom żyje się lepiej! Wie pani? jakby je tak wszędzie, to zaraz by żywność była tania jak przed wojną: kilo cukru za złotówkę! Jestem po prostu szczęśliwa, że władze miasta zamieniły ten nikomu niepotrzebny rynek kwiatowy na miejsce sprzedaży obwoźnej. A pani, Anno-Mario?

Też, też! Jakżeby inaczej? „Jestem szczęśliwa” — powtarzam kupując na rynku chleb, bo oszczędzam w ten sposób aż całe sto złotych! „Jestem bardzo, bardzo szczęśliwa”, myślę kupując na rynku kostkę masła, bo oszczędzam aż dwieście złotych! Przy serze edamskim moje szczęście staje się wprost ekstatyczne: oszczędzam prawie całego patola! Przy oleju uniwersalnym osiągam stan nirwany: w PSS zapłaciłabym o ponad patol więcej! Co za niebawiały cud gospodarczy! Aż się żyć chce i latać na Bałucki Rynek po coraz to nowe i nowe porcje osobistego szczęścia!

Wnosząc po tłumach, jakie każdego dnia kłębią się na rynku, ino patrzeć, jak stanowią się społeczeństwem biegaczy ze wszelkich miar szczęśliwych. Tylu nas dziś takich, co to w myśl przysłowia, że „ziarno do ziarnka i zbierze się miarka” — ściboli tę stówkę czyli ziarno do stówki, aby tę naszą szczęśliwą miarkę zebrać czyli wyżyć z rodziną za pensję do kolejnego pierwszego.

Ale tu nagle: bach! bach! — dowiaduję się z prasy, że Łódź ma 90 mld deficytu, i dlatego wojewoda zablokował konta jednostek budżetowych. Co oznacza, że „kasjerzy szkół, teatrów, szpitali i tpe” nie mogą wypłacać z banku pieniędzy. A tu za dziesięć dni pierwszy!

Sąsiadka, która wierzy w cud gospodarczy, dokonany przy pomocy Ryńku Bałuckiego, jest emerytką. Swoją dolę pobiera od Kuronia. Ja, niestety, jako pracownik kultury — właśnie z zablokowanej jednostki. Podobnie moja młoda znajoma: polonistka, po rozbudowie wychowująca samotnie syna. Ona (pięć lat pracy zawodowej po studiach) na dzień 1 października otrzymała pensję wyrażającą się kwotą siedmiuset dwudziestu tysięcy. Po opłaceniu październikowych, podwyższonych rachunków za światło, gaz, czynsz zostało jej na utrzymanie dwóch osób aż czterysta tysięcy. Choć niedawno skończyła trzydzieści lat, ręce się jej trzęsą jak u staruszki: Anno-Mario, i jak ja mam żyć dalej? z czego? nawet na naleśniki z dżemem mi nie starcza — mówię.

MYSŁISZ O PRZYSZŁOŚCI?
POWIERZ NAM TWOJE PIENIĄDZE!

KZECZPOSPOLITA LUDOWA

100

POLSKI

RODOWY BANK

POLSKI

RODOWY BANK

POLSKI

RODOWY BANK

POLSKI

RODOWY BANK

POLSKI

RODOWY BANK

POLSKI

RODOWY BANK

POLSKI

RODOWY BANK

POLSKI

RODOWY BANK

POLSKI

RODOWY BANK

POLSKI

RODOWY BANK

POLSKI

RODOWY BANK

POLSKI

RODOWY BANK

POLSKI

RODOWY BANK

POLSKI

RODOWY BANK

POLSKI

RODOWY BANK

POLSKI

RODOWY BANK

POLSKI

RODOWY BANK

POLSKI

RODOWY BANK

POLSKI

RODOWY BANK

POLSKI

RODOWY BANK

POLSKI

RODOWY BANK

POLSKI

- Działa na terenie całego kraju.
- Otwiera i prowadzi rachunki bankowe oraz przeprowadza rozliczenia pieniężne jednostek gospodarki uspołecznionej i nie uspołecznionej oraz organizacji społecznych.
 - Udziela kredytów i pożyczek pieniężnych.
 - Udziela poręczeń i gwarancji bankowych.
 - Przyjmuje lokaty i depozyty pieniężne.
 - Emituje i sprzedaje akcje i obligacje oraz dokonuje obrotu papierami wartościowymi na rachunek własny oraz osób trzecich.
 - Zakłada i przystępuje do spółek prawa handlowego oraz podejmuje przedsięwzięcia gospodarcze.
 - Wykonuje czynności bankowe na zlecenie innych banków.
 - Łódzki Bank Rozwoju S.A. jest bankiem dewizowym w rozumieniu Ustawy - prawa dewizowe.

Łódzki Bank Rozwoju S.A.
ul. Piotrkowska 173
90-950 Łódź
skr. poczt. 465

Tel. sekretariatu
36-17-16, 36-52-66 wew. 121
Telex: 885657 LBR SA